

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 3

Jerozolima, 1 maja 1943 r.

Rok I

JAN GODOWSKI

KONSTYTUCJA 3-go MAJA A CHŁOPI

Rocznicę uchwalenia Konstytucji Majowej najżywiej i najserdeczniej obchodzono w okresie rozbiorowym. Stała się ona symbolem, utwierdzającym Naród w wierze w samego siebie, w swoją dojrzałość polityczną, zdolność stawiania czoła przeciwnościom.

Konstytucja ta powstała w warunkach tragicznych i nigdy właściwie nie została wprowadzona w życie. Ale składała świadectwo woli życia Narodu. Pokazywała, jak w obliczu niebezpieczeństwa potrafił on sam o własnych siłach zrobić decydujący krok na drodze do przekształcenia się ze społeczeństwa szlacheckiego w nowoczesne społeczeństwo, obejmujące wszystkie klasy. Stwierdzała zdolność do ofiar z przywilejów stanowych na rzecz dobra powszechnego ze strony tych, którzy ją uchwalali. Była aktem wielkiego rozumu politycznego.

Dziś, kiedy Polska znalazła się znowu pod okupacją i gdy okupant ten dąży do biologicznego zniszczenia Narodu, kiedy z największym trudem musimy sobie wywalczać w świecie uznanie dla naszych granic, gdy biją w nas tragiczne wieści, pamięć Konstytucji i tego wszystkiego, czego jest ona symbolem, ma dla nas szczególną cenę i wartość.

Red.

W artykule czwartym, mówiącym o „chłopach włościanach”, Konstytucja nawiązuje do „najdroższej kraju siły” jaką stanowi „lud rolniczy”.

Sprawa włościańska w Polsce, zaniedbana od wieków, była wówczas problemem najtrudniejszym do rozwiązania, szczególnie w tych warunkach, gdy ze względów politycznych musiało się oszczędzać szlachtę, zostawiając ją przy wszystkich dawnych przywilejach i prawach.

Konstytucja 3 maja, teoretycznie jakby tylko przyjąwszy chłopą „pod opiekę prawa i Rządu Krajowego”, pozostawiła właścicieli dalszy los jego incjatywie prywatnej, stanowiąc, że wszelkie „swobody, nadania i umowy” czy to z gromadami, czy też z poszczególnymi włościanami zawarte, „będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek”, wiążący również wszystkich dalszych następców, czy też nabywców, tak, „iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mogli”. Jakkolwiek w pierwszej części tego artykułu zaznaczono wyraźnie, że umowy wszelkie będą stanowić „wspólny wzajemny obowiązek”, mimo to nie poprzestano na tym stwierdzeniu ogólnym, lecz, by uniknąć nieporozumień i uspokoić szlachtę po określeniu stanowiska właścicieli gruntu, stwierdzono wyraźnie „obowiązki” włościanina: „Nawzajem włościanie jakiegokolwiek bądź majątności od dobrowolnych umów, przyjętych nadeń i z nimi złączonych powinności usuwać inaczej się nie będą mogli, tylko w takim sposobie i z takimi warunkami, jak w opisach tychże umów postanowione mieli, które czy na wieczność, czyli do czasu przyjęte, ściśle ich obowiązywać będą”. Jeśli porównamy to dokładne omówienie z poprzednim, ogólnym tylko zwrotem wzięcia ludu rolniczego „pod opiekę prawa”, to wówczas tym wyraźniej ujaskrawi się nam, że twórcy Konstytucji 3 maja nie przez przeoczenie jakieś, lecz celowo i z premedytacją tego właśnie zwrotu bliżej nie określili. Chodziło tu przecież o rzecz najniepopularniejszą wśród szlachty, o to, że chłop mógł o swe krzywdy upomnieć się przed sądem publicznym i pozwać przed niego nawet swego pana, który do tak niedawna po Panu Bogu był jedynym jego sędzią i panem jego życia i śmierci.

Należałoby się jeszcze zastanowić, czy przyjęcie chłopą „pod opiekę prawa” to właśnie oznaczało w Konstytucji. Balcer, rozwiązując ten tekst, napisał: „zwrotu tego bliżej nie określono, ale niepodobna go rozumieć inaczej”. Twórcy Konstytucji 3 maja, chcąc wziąć chłopą w opiekę przed samowolnością panów, proponowali nawet wznowienie niektórych ustaw i przepisów, pochodzących jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego — króla chłopów. Świadczy to wszystko najwyraźniej, że w czasie opracowywania Konstytucji na tajnych naradach zastanawiano się nad tymi sprawami, a jeśli je usunięto z ostatniej redakcji, to widocznie z myślą, że lepiej i bezpieczniej będzie tych rzeczy nie określać dokładnie, lecz dać zasady ogólne, raczej sze-

rokcie, które życie miało dopiero wypełnić treścią.

„Zawarowawszy dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących”, Konstytucja dążyła do wzbogacenia państwa na innej też drodze, przez „pomnożenie ludności krajowej”. Ogłaszała więc „wolność zupełną dla wszystkich ludzi, tak nowo-przybywających, jako i tych, którzyby, pierwsi z kraju oddalwszy się, teraz do Ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece, że każdy człowiek przybyły lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi Polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce, wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsz, jak i dopóki się umówi — wolny jest osiadać w mieście i na wsiach — wolny jest mieszkając w Polsce lub do kraju, do którego zechce, powrócić, uczyniwszy zadość obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął”. Jakie znaczenie mogło mieć to postanowienie w życiu, czy spełniłoby swoje zadanie i czy z czasem nie wywołałoby nawet przewrotu w dotychczasowych stosunkach na wsi polskiej, trudno powiedzieć, w każdym razie umieszczenie tego punktu w artykule IV Konstytucji świadczy, że prawodawcom w tym wypadku raczej chodziło o osadnictwo wiejskie, niżli miejskie.

Niewiadomo też czy wzięcie „pod opiekę Rządu Krajowego” wszelkich umów między włościanami, a właścicielami przyczyniłoby się w praktyce do przyspieszenia procesu usamodzielnienia chłopą pod względem gospodarczym i prawnym, jak to zamysłali prawodawcy. Jeśli bowiem dotychczas dobrowolne umowy zawierane między chłopami a panem w sprawie zamieniania pańszczyzny na czynsze były zjawiskiem sporadycznym, lecz przybierającym na sile, to po 3 maja, wbrew intencji twórców Konstytucji, ten cały proces mógł ulec łatwo poważnemu zahamowaniu. Boć przecież wówczas to wszystko były próby dopiero i nieraz ani pan, ani chłop, zawierając taką umowę, nie wiedział i nie mógł wiedzieć, czy nowy stan rzeczy wyjdzie im obopólnie na korzyść i czy samo życie nie podyktuje im nowych warunków. A życie widocznie nieraz dyktowało nowe warunki umowy, szczególnie panom, jeśli w Konstytucji znalazły się odpowiednie przepisy, regulujące tę sprawę. Gdy warunki umowy można było jakoś jeszcze zmieniać i gdy właściwie pod względem prawnym nie kępowały one zupełnie właścicieli i ich następców czy nowonabywców, wówczas nie jeden pan, ulegając ówczesnym prądom, czy też obiecując sobie nieraz powiększenie rentowności swego majątku, łatwo przeprowadzał oczyszczanie włościan w swych posiadłościach. Skoro jednak umowa zawarta z własnym poddanym miała być czymś trwałym, miała być „aktem wzajemnie obowiązującym obie strony”, przy czym wszelkie obowiązki „podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu” podpadły „pod opiekę Rządu Krajowego”, wówczas każdy szlachcic, czy magnat polski, biorąc to wszystko pod uwagę, na pewno grubo się zastanowił przedtem, zanim przystąpił do zawarcia takiej czy innej umowy z własnymi poddanymi, w imieniu swoim i swoich następców.

Konstytucja 3 maja pod względem reform społecznych nie przeprowadziła radykalnych zmian, ale mimo to przez współczesnych była ona uważana za „rewolucję”, która czyniła olbrzymi wyłom w dotychczasowym stanie rzeczy. Uznawała ona wprawdzie nadal jako

podstawę ustrój stanowy, ale granica między stanami nie jest już więcej zaporą nie do przebycia. Szlachcic „mierzący łokciem i kwartą” szlachectwa nie tracił, mieszczanin mógł nabywać dobra ziemskie i łatwo stosunkowo z tych czy innych względów zostawał szlachcicem, chłop, który powracał do kraju i osiadał w mieście, był wolny i mógł zostać mieszczaninem. Jeśli w ciągu wieków szlachta, zamknawszy koło szlacheckie i obwarowawszy dostęp do niego ostrymi przepisami, zazdrośnie strzegła swoich przywilejów i swej wyłączności, to teraz sami posłowie szlachecy łamią tę odwieczną odrębność. Przewiduje Konstytucja bowiem nie tylko możliwość łatwego stosunkowo przechodzenia ze stanu mieszczańskiego do szlacheckiego, ale wprost nakazuje każdorazowo sejmowi nobilitację 30 mieszczan. Można się wprawdzie spierać o to, czy w ten sposób nie osłabiło się stanu mieszczańskiego, pozbawiając go najlepszych, najbogatszych i najenergiczniejszych jednostek, ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że równocześnie szlachcie dozwolono bez utraty szlachectwa zatrudniać się handlem, to siła rzeczy energiczne jednostki szlacheckie rzuciłyby się do rentownego handlu i w ciągu niedługiego czasu wytworzyłyby się bardzo silne ognie niezamknięte, łączące, a nie dzielące oba stany. I to żywe ognie oparte na podstawie ekonomicznej musiałyby odegrać dużą rolę w dalszej ewolucji społecznej Polski. A trzeba brać i to pod uwagę, że ci mieszczenie uszlachceni, nabywając nawet dobra ziemskie, nie zrywali bynajmniej przez to z miastami, nie tracili swoich związków i sympatii, lecz przez znajomość spraw miejskich niejednemu mogli oni wyświecić w sejmie, by pomóc w przeprowadzeniu dalszych reform, którychby domagało się życie.

Konstytucja 3 maja, nazywając lud wiejski „najlicniejszą w Narodzie ludnością”, „najdzielniejszą kraju siłą” i „bogactwem krajowych źródeł”, wysuwała zasadę rozszerzenia podstaw narodu. A zatem już nie sama tylko „szlachta naród” byłaby odpowiedzialna za losy państwa, ale i inne stany. Panująca od wieków wyłączność szlachecka, mimo różnych zastrzeżeń w Konstytucji, została jednak złamana. Teraz warunki i życie samo miało ten pośredni okres dojrzenia społeczeństwa skrócić, albo też przedłużyć. Zależało to zresztą od ustępstw szlachty i od dorastania do zadań innych stanów, ale i od biegu i rozwoju wypadków. Jeśli rozważymy reformy społeczne, dokonane przez Konstytucję 3 maja, to dochodzimy do przekonania, że jakkolwiek w porównaniu z takimi reformami rewolucji francuskiej były one stanowczo nikłe, to jednak uwzględniając ówczesne warunki polskie i ogólne położenie polityczne, musimy je uznać za reformy znaczne, choć niewystarczające. Nie burzyły one wprawdzie samych podstaw dotychczasowego ustroju społecznego, ale podważały zasady i poglądy, na których podstawy tego ustroju spoczywały.

Ta pozornie nieznaczna wzmianka w Konstytucji o wzięciu chłopą „pod opiekę prawa” była w rzeczywistości „rewolucją” w dotychczasowym stanie rzeczy i poglądach, i stanowiła zasadniczy punkt wyjścia dla ewolucji dalszych stosunków między panem a chłopem. Państwo wkroczało teraz ze swoim sądem między chłopą i pana, państwo mieszało się teraz w sprawy czysto prywatne, jakimi były dotychczas wszelkie umowy zawierane między

W numerze:

I. Rzeczycki: Apetyt pod maską i ideologii. — Deklaracja Rządu Polskiego w sprawie zamordowanych oficerów polskich. — Ukraińcy w Polsce. — Zagadnienia niemieckie. — M. Wańkowicz: Kawaler z siarki. — J. S. Bystron: Emir Rzewuski. — W. Broniewski: Wiersze jerozolimskie. — E. Mieroszewska: Księżyc zaszedł — S. Balliński: Przestrzeń życiowa. — Z. Broncel: Poezja sloganu. — O. W. R.: Związek patriotów polskich. — Kronika polska. — Z prasy podziemnej.

panem a poddanymi, państwo przekreślało teraz wszelką samowolę i gwarantowało wykonanie zawartych umów, państwo rozciągało na przyszłość ważność zawartych układów, zarówno na następców, jak i na nabywców. Szlachcic na zagrodzie przestawał być niezależnym władcą i panem na swej własnej ziemi i nad swymi własnymi poddanymi.

Lecz wszystko to oznaczało tylko zapowiedź zmian, które nadejść mogły w bliższej lub dalszej przyszłości. Doraźnie nie zmieniało się nic w ciężkiej doli chłopą. Przyczyną tego było z jednej strony nieprzygotowanie terenu polskiego do tak daleko idących reform, z drugiej zaś strony ówczesny układ stosunków politycznych w kraju i zagranicą. Propaganda hasła rewolucyjnych i duch racjonalizmu rozszerzały się po Europie początkowo dosyć łatwo, mając uitorowane drogi do wszystkich ówczesnych dworów poprzez literaturę i światły absolutyzm. Gdy jednak pożar rewolucji francuskiej zaczął się rozszerzać i pogłębiać i gdy odwieczny tron arcychrześcijańskiego króla zaczął trzeszczeć w posadach, wówczas na wszystkich dworach Europy zaczyna się otrzeźwienie i bicie na alarm, i organizowanie ofensywy przeciw rewolucji. Przeciwni związkom ludów mają wystąpić związki monarchów, którzy też mają wspólne interesy, łatwiejsze zresztą do uzgodnienia między sobą, niż interesy ludów. I ta nagonka na hasła rewolucji francuskiej i na propagandę tych hasła zaczyna coraz więcej przybierać na sile. Nie próżnują rewolucjonisci, gdy burzą ludy przeciw tyranom, lecz Ludwik XVI, Maria Antonina i moi emigranci francuscy nie tracą też czasu na marne i nawołują po różnych dworach Europy do krucjaty przeciw rewolucji. Dwa światy gotowały się wówczas do walki między sobą na śmierć i życie.

A Polska daleka od Francji, otoczona ze wszech stron potężnymi „tyranami” rozbiorcami, nie mogła zamykać oczu na rzeczywistość i na to wszystko, jeśli nie chciała z góry skazać całego dzieła Konstytucji w zarodku samym na zagładę. Trzeba się było wówczas liczyć z tym, by Polski nie zaliczono do obozu rewolucyjnego, bo to groziło z miejsca nowym porozumieniem trzech dworów, celem stłumienia nowego ogniska groźnej rewolucji, która niczym zaraza mogła rozszerzyć się na ich państwa. A nowe porozumienie skłóconych potęg z miejsca przekreślałoby cały dorobek sejmiku wielkiego i stwarzałoby tragiczną sytuację. Radykalne reformy nowej Konstytucji napotkałyby też na silną opozycję wewnątrz kraju i ułatwiłyby wrogom stworzenie jakiejś, zdawna upragnionej przez nich konfederacji, zakończonej nowym rozbiorem Polski.

A przy tym wszystkim trzeba było również brać pod uwagę stanowisko elektora, którego w Konstytucji powoływano się na tron Polski, bez otrzymania od niego na to wyraźnej zgody. W Saksonii rozpoczęły się w tym czasie ruchy chłopskie, który gdzieś niedługo przemieniły się nawet w otwarte bunt, tłumione siłą. Nic więc dziwnego, że strach panował na dworze elektora, przed rozszerzeniem się hasła rewolucji francuskiej, strach tak wielki, że Warszawa, przesyłając do Drezn swemu przyszłemu królowi oficjalny tekst uchwalonej Konstytucji w tłumaczeniu francuskim, opuściła całą przedmowę do Konstytucji, i

Jak delikatną i trudną sprawą było wówczas przeprowadzenie w Polsce reform społecznych, świadczy o tym także przebieg tajnych narad nad Konstytucją i samo posiedzenie sejmowe w dniu „rewolucji”, podobnie jak teksty pierwszych projektów i wreszcie samo brzmienie Konstytucji 3 maja. W każdym razie, to, czego dokonała Konstytucja 3 maja pod względem zmian społecznych, było w historii Polski wydarzeniem niezwykłym i niespotykanym u nas na przestrzeni wieków całych, a tym ważniejszym, że przeprowadzenie reform społecznych nie było w tej Konstytucji czymś ostatecznym, skończonym, czy wiecznym, lecz było wyraźnie procesem rozwojowym. Świadczy o tym nie tylko same postanowienia poszczególnych artykułów, ale i duch całej Konstytucji. Rozszerza się teraz pojęcie narodu. To już nie szlachta sama, nie szlachta z mieszczanami nawet, ale „najlicniejszy w Narodzie lud rolniczy”, stanowiący „najdzielniejszą kraju siłę”, miał teraz brońć całości „wspólnej Ojczyzny”.

Federacja Anglo-Amerykańska

W marcowym zeszycie „The Contemporary Review” lord Davies w artykule p. t. „Zagadnienie współpracy międzysojuszniczej” agituje za federacją anglo-amerykańską.

Ubiegłą wojnę światową — tłumaczy autor — sprzymierzone narody prowadziły w sposób dużo bardziej sprawny i zgrany niż obecnie. Istniała wtedy najwyższa Rada Wojenna, w której reprezentowane były wszystkie wielkie państwa z wyjątkiem Rosji, istniał gabinet wojenny Imperium, złożony z przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Dominów i Indii, oraz liczne międzysojusznicze komitety, podporządkowane Najwyższej Radzie Wojennej.

Institucje te działały naogół sprawnie. W obecnej wojnie nie ma podobnej instytucji i narady między głównymi sprzymierzeńcami mają charakter sporadyczny. Jest to zły omen dla bliskiej i wydajnej współpracy sprzymierzonych po wojnie.

Zdaniem autora, jest rzeczą konieczną stworzenie po wojnie, jeśli się chce zapobiec międzynarodowej anarchii, jakiejś władzy międzynarodowej, któraby była na tyle silna, że mogłaby zapewnić panowanie prawa. Państwa musiałyby zrzeszyć się na rzecz tej instytucji części swoich praw suwerennych z zakresie wyrokowania w zagadkach między państwowych oraz prawa wykonywania kontroli nad zbrojeniami.

Pierwszym krokiem dla wprowadzenia w życie takiej władzy powinno być — tłumaczy dalej autor — połączenie suwerenności dwóch wielkich demokracji anglosaskich przez stworzenie Parlamentu Federalnego, któryby kontrolował wspólną politykę zagraniczną oraz siły zbrojne. Autor jest wielkim entuzjastą takiej unii. Byłaby ona — dowodzi — jednym z największych osiągnięć w historii ludzkości i mogłaby stanowić jądro przyszłej ligi czy konfederacji światowej.

IGNACY RZECZYCKI

APETYT POD MASKĄ IDEOLOGII

SŁOWIANOFILIZM ROSJI CARSKIEJ

... Gdzie to wy idziecie?

Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Słowiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną papieża
Piorunem myśli podniesione śmiecie
Gnacie. — Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną.
Pójdę gdzie indziej! — i lud pójdzie za mną.
J. Słowacki

Apetyty, idee ekspansji, pochłonięcia innych narodów zawsze owijano wstydliwie, a czasem i bezwstydnie, w ideologię. Stale ideom zaborecznym towarzyszyła rzekoma troska o dobro ludzkości, o zbawienie świata lub Europy, a nawet i Azji. Mistrzard ideologiczną zastraszano apetyt. Działo się tak przez wieki. Rozbiory, podziały uzasadniano posłannictwem.

Postępowa literatura historyczna rosyjska starała się demaskować tendencje zaboreczne rządu carskiego, odsłaniać politykę zmierzającą do skierowania nastrojów mas w stronę zaborecznego nacjonalizmu oraz sprowadzić wszystkie terminy zaboreczne, wymyślone przez teoretyków regimenu carskiego, do właściwego mianownika.

Historycy rządów carskich starali się natomiast upiększyć frazeologię humanitarną politykę zaboreczną Piotra, Katarzyny, Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II. Aleksander III miał do swojej dyspozycji teoretyka, który usprawiedliwiał z wyższego punktu widzenia ucisk narodów i widział w akcji rusyfikacyjnej świętą misję państwa (Pobiedonosew).

W imię tej racji, tolerancji i wolności, w imię obrony różnowierców w Polsce dokonała Katarzyna do spółki z drugim oprawcą Fryderykiem Pruskim dzieła rozbioru. „Oświecenie” — takim było hasło carizmu w Europie w w. XVIII — oświadcza Engels.

Jeśli parcie na zachód uzasadniano względami obrony dysydentów, to działalność zwróconą przeciwko Turcji, stała systematyczną robotą w kierunku rozbicia tego państwa i znalezienia dostępu do morza Czarnego oraz wyjścia na Bliski Wschód, uzasadniano zawsze interesami obrony Słowian południowych. Nic innego nie miała na względzie Katarzyna, wójując z Turkami, jak tylko wyzwolenie Słowian.

Jak wyglądali wyzwoleni, gdy armia carska stawała mocną stopą na ich terytorium, co wyprawiały wówczas wojska pod dowództwem obecnie tak bardzo sławionego Suworowa, o tym świadczą dokumenty okrucieństwa z okresu schyłku wieku XVIII. Na uwagę zasługuje jedynie ocena tych walk i bojów przez Engelsa: „Carogród, jako trzecia stolica rosyjska wraz z Moskwą i Petersburgiem, oznaczałaby nie tylko moralne panowanie nad światem wschodnio-chrześcijańskim, ale byłby jednocześnie zdecydowanym krokiem do opasowania Europy”.

Operowano więc nieustannie podczas wojny turkiecej argumentem słowiańskim. Nic dziwnego, że w „Historii Dyplomacji”, wydanej przez Sowiety w r. 1941, czytamy taką oto ocenę działań Katarzyny II: „Ze starych sposobów dyplomatycznych Katarzyna II zastosowała szeroko demagogiczną agitację wśród ludności prawosławnej w obcych państwach. Wiadomo, jak carska dyplomacja wyszukała zagadnienie dysydentów dla wtrącania się do spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej. W czasie pierwszej wojny turkiecej rządowi Katarzyny II udało się wywołać powstanie na wyspach Archipelagu i po raz pierwszy w umowie zawartej z Turcją przewidziane zostały paragrafy dotyczące praw religijnych ludności chrześcijańskiej Turcji. Pod płaszczykiem ratowania chrześcijan miejscowych — Greków i Ormian na Krymie — przed gwałtami ze strony Tatarów, zostali oni wszyscy przymusowo wysiedleni w r. 1779 na wybrzeże morza Azowskiego. Wszędzie carat występował w pozie wybawiciela chrześcijan dla osiągnięcia swoich własnych celów”.

Czasem carat rozszerzał swój program. Dbał nie tylko o wyzwolenie Słowian, ale i chrześcijan całego świata. O prymat w protektoracie nad chrześcijanami toczył się spór między Mikołajem I a Napoleonem III. Obrońcą Słowian w Turcji miał być wyłącznie Mikołaj I, nie chcący nikogo dopuścić do tej szlachetnej misji. Jeszcze przedtem stumił krwawo powstanie 1831 r., zdławił słowiański naród polski, zapowiadając zburzenie Warszawy na wypadek powtórzenia powstania, by następnie występować wobec świata jako obrońca Słowian na Bałkanach. Obrońca ten nie ukrywał swoich planów przed dyplomatami francuskimi, zdradził się również ze swoich zamiarów wobec ambasadora angielskiego w Petersburgu. Oświadczył wyraźnie, że głównym jego celem jest zdobycie Konstantynopola, że liczy na désinteressment Wielkiej Brytanii. Plan ten nie udał się. Obrońca Słowian czuł się urażony z powodu zdradzieckiego zachowania się Europy, która nie zrozumiała jego intencji, mimo iż tyle uczynił dla jej uratowania, mimo iż brat jego zbawił Europę, a on zdławił powstanie węgierskie.

Nie inaczej pojmuje wyzwolenie narodów słowiańskich największy poeta rosyjski Aleksander Puszkyn. Lapidarnie, bez żadnych zastrzeżeń formułuje swój stosunek do idei słowiańskiej: „Czy rzeki słowiańskie spłyną do morza rosyjskiego? Czy ono wyschnie? Oto pytanie”. Wszystkie rzeki słowiańskie mają spłynąć do morza rosyjskiego. Protektor zaszczytu wszystkich narody prawem asymilacji, da im możliwość dostąpienia szczęścia rusyfikacji. Tak wyraźnie stawia sprawę poeta, który bratał się z Ada-

mem Mickiewiczem, tłumaczył jego wiersze, starał się rozumieć jego intencje i poświęcił kilka wierszy towarzyszom dekabrystom, idącym na Sybir w imię zrzucenia regimenu carskiego i wyzwolenia Rosji.

Jak nota rządu rosyjskiego wobec Polski, brzmi w wierszu p.t. „Rocznica bitwy pod Borodinem” co następuje: „Powiedźcie, czy Warszawa będzie nam dumnie dyktować swe prawa? Dokąd mamy przesuwać linie naszych fortec, czyż poza Bug, do Worskły, do Limanu? Przy kim zostanie Wołyń? Kto odziedziczy spadek po Bohdanie (Chmielnickim)? Czyż uznamy prawa powstańców i Litwa oderwie się od nas?... Wojna i zaraza. bunt i nacisk z zewnątrz wstrząsały Rosją. Patrzcież, ona się trzyma, a los Polski jest przypiętowany”.

Tak pisze nadworny poeta Mikołaja I. Aleksander II, przygotowując kampanię turecką, ma również do swojej dyspozycji teretyków słowianofilstwa, chce zbawić Słowian południowych. Przedtem jednak, naśladowując ojca, dusi powstanie roku 1863, likwidując resztę samodzielnosci Kongresówki.

Ruch wolnościowy w Rosji przybiera wówczas na sile. Nie dało się uspokoić społeczeństwa ogólnym oswobodzeniem włościan i reformą sądownictwa. Należy więc ruch skierować na inne tory, tym bardziej, że zbiega się to z interesami imperium carskiego i daje możliwość rozpoczęcia wojny z Turcją.

Teoretykiem tego słowianofilstwa jest Danilewski. Według planu jego ma powstać związek wszechsłowiański z Rosją jako hegemonem. Do tego związku należałoby powinno królestwo czecho-morawsko-słowackie, królestwo bułgarskie, a nawet królestwo węgierskie.

Historyk Pokrowski w książce p.t. „Dyplomacja i wojny Rosji carskiej” pisze o Danilewskim: „Wpisuje on śmiało do rodziny słowiańskiej Greków dlatego, że są prawosławni, i nawet Węgrów dlatego, że i oni nie będą mieli innego wyjścia, znajdując się w morzu słowiańskim. Ale oczywiście królestwa polskiego wśród tych wszystkich królestw znaleźć nie można”.

Wręcz odwrotnie, Danilewski przewiduje, że podczas tej akcji słowianofilskiej ręka rosyjska będzie musiała coraz częściej wdziewać na siebie Murawiewowską jeżową rękawicę, by wciąż mocniej i mocniej ścisnąć Polskę.

Pokrowski pisze wobec tego: „Taka perspektywa stałego trzymania w karcerze nie tylko sojuszników, oczywiście, nie wróżyła nic dobrego całemu przedsięwzięciu, tym bardziej, że panslawiści zachodni zupełnie inaczej spoglądali na tę sprawę. Np. Czech, Ryger, uważał, że porozumienie Rosji z Polską powinno być podstawowym warunkiem politycznego zbliżenia austriackich Słowian z Rosją; Czesi brzydzili się podać rękę dozorcę więziennemu Polski, mimo iż ta pomoc rosyjska była im bardzo potrzebna. Ale rosyjscy neo-słowianofile spoglądali podejrzliwie wogóle na Słowian austriackich. Po pierwsze przeważna część, a między innymi Czesi, składała się z katolików... Tylko ścierając z siebie hańbiące piętno, ci odszczepieńcy mogli być dopuszczeni do społeczności wszechsłowiańskiej”.

Słowianofil Aksakow uważał, że Czesi powinni skwapliwie skorzystać z konstytucji austriackiej i przyjmując prawosławie, aby umożliwić w ten sposób zlanie się w jedną społeczność słowiańską. Ta ideologia Aksakowa zbiega się zresztą z poglądami Mikołaja I. Słowianofilizm dążył do odgródzenia się od Zachodu, od zgubnych wpływów kultury europejskiej. Słowianofilizm walczył z t.zw. kierunkiem zachodnim w Rosji (zapadnicestwo), a nega-

tywny stosunek wobec Polski starał się wyjaśnić przemożnymi wpływami kultury Zachodu na Polskę. Mikołaj I formułuje zresztą wyraźnie stosunek do Polski, twierdząc m.in. że należy ją ogłupić do poziomu Rosji („ogłupić” Polskę do urownia Rosji”).

Szczególna była sytuacja narodu czeskiego i jego stosunku do słowianofilstwa. Najwięcej wysunięty na zachód naród, wystawiony na walkę z Niemcami, germanizowany od wieków, odradzający się od r. 1848, tworzący dopiero inteligencję, szuka on po świecie protektorów w walce z Niemcami. Potężne państwo rosyjskie, literatura, muzyka, działały oszołamiająco na wyobraźnię czeską. Naród o wolnościowych tendencjach puszcza często mimo usza wieści o reakcyjnych posunięciach rządu carskiego, chce się grzać w blasku słonia rosyjskiego, Olsniewa go opowieść o posiadaniu możnego krewnego, bogatego wujaszka, który kocha Słowian i gotów nawet wyjąć nie z kamizelki, ale z pugilaresu poważniejszy datek na rzecz utrzymania kultury czeskiej. Widzi się Moskalą tylko w błyszczącym mundurze, „węża tylko zna się po skórze”. Czesi nie znają bezpośredniego metod ucisku Rosji carskiej. Nie dziwnego, że dużo inteligencji czeskiej ulega wpływom słowianofilstwa carskiego. Nie odstrasza ich przykład Serbii i Bułgarii, rozwielmożenie się rządu carskiego na tych terytoriach. Rząd carski wywraca do góry nogami władzę w Bułgarii, dyktuje warunki Serbom, po swojemu komentuje prawa Rumunów do swoich terytoriów, a mimo to Czesi osamotnieni w walce słowiańskiej snują bajkę o tendencjach wywoleńskich rządu carskiego. Zresztą, upajają ich nie tylko opowiadania o mocy państwa rosyjskiego. Z tegoż kraju wywodzi się literatura wolnościowa, dudni ruch rewolucyjny.

Rosja carska zostaje odepchnięta od Dalekiego Wschodu. Wojna z Japonią kończy się klęską. Po wstrząsie rewolucyjnym na skutek wojny następuje reakcja. Na miejsca idei rewolucyjnych wyłazła idea nacjonalistyczna, zaboreczna. Rosja carska skierowuje swój wzrok ponownie na Bałkany, marzy wciąż o drodze wyjścia do Konstantynopola i przygotowuje się do ewentualnego konfliktu z sąsiadem zachodnim.

Prądy nacjonalistyczne odzwierciedla w Rosji carskiej partia reprezentująca ziemian i kupców (październikowcy), oraz kadeci. Słowianofilizm przybiera nowe formy, ale zawiera tę samą treść. Pewne grupy polskie ludzą się, że idea neo-słowiańska przyczyni się do zżagodzięcia ucisku na terenie Rosji carskiej. Z drugiej strony reprezentanci rosyjscy idei neo-słowiańskiej mają nadzieję, że narodowa demokracja przez swoje wpływy zdoła odwrócić Polaków w Małopolsce od wierności wobec Austrii i zyskać ich na rzecz Rosji.

Nadzieje polskie są złudne. Ruch nacjonalistyczny neo-słowiański domaga się przystąpienia do neo-slawizmu bez żadnych warunków i zastrzeżeń. Ci sami nacjonaliści rosyjscy, którzy propagują ruch neo-słowiański, głoszą za wyodrębnieniem Chełmszczyzny z obszaru Królestwa Polskiego, przycinając się do dalszej rusyfikacji Kongresówki.

Odbywa się zjazd neo-słowiański w Pradze. Rozradowane tłumy czeskie witają z entuzjazmem Rosjan, wydaje im się, że Rosjanie przyczyniają się do utworzenia państwa czeskiego. Hrabia Bobrylski nosi się jednak z innymi zamiarami. Korzysta ze zjazdów w Pra-

dze, by odwiedzić jednocześnie Ruś Podkarpacką, zetknąć się z miejscowymi rusofilami oraz z moskalofilami w Małopolsce Wschodniej.

Wybuchła wojna światowa. Zdawało się, że idea słowiańska służyć będzie do zespolenia narodów słowiańskich w walce z Niemcami. Inicjatywa należy do Rosji. Mikołaj Mikołajewicz, naczelny wódz armii rosyjskiej, występuje z odezwą do Polaków. Oświadczenie pozostaje na papierze. Ruch neo-słowiański przydaje się do jednego celu. Wojska rosyjskie wkraczające do Małopolski Wschodniej stwierdzają, że ziemie te były i pozostaną odwiecznie rosyjskie. Gubernatorem Lwowa zostaje Bobrylski.

Nie znano jeszcze wówczas komedii plebiscytu, ale odegrano sprawnie uwerturę poprzedzającą ta operę-bluf w postaci masowych aresztów, zesłań. Galicję odczuwa w całej pełni skutki neo-slawizmu, zespolenia z Rosją carską. Tysiące ludzi wędruje na Sybir. Aresztują nie tylko Polaków, ale i Ukraińców. Październikowiec Bobrylski bowiem, tak samo jak kadet Milukow, nie uznaje narodu ukraińskiego, uważając, że nie odpowiada to interesom idei słowiańskiej państwa rosyjskiego.

Neo-slawizm w Polsce, tak ostro wykpiwany przez lewicę polską, przyjęty sztycherem śmiechem przez lewicę rosyjską, a szczególnie przez bolszewików, zbankrutował wówczas w oczach wszystkich Polaków. Stwierdzono bez żadnych wątpliwości, że neo-slawizm w nowej postaci był jedynie pomysłem lewej biurokracji w połączeniu z przemysłowcami rosyjskimi dla tendencji ekspansji wielkorusyjskiej.

Ta teoria rasizmu, której przewodniczyła Rosja carska, mocno kulafa. Już w pierwszym okresie rozwoju idei słowianofilskiej Marx w listach do Engelsa wykpiwa słowianofilskie tendencje Rosji, dążące do owładnięcia Konstantynopolem, stwierdza, powołując się na autorytety naukowe, że niezależnie od wszystkich argumentów i motywów naród rosyjski nie jest narodem nawskroś słowiańskim, a wielowiekowe pomieszanie z Tatarami, z narodami pokonanymi w Środkowej Azji i na Kaukazie, zmieniło całkowicie stan rasowy narodu rosyjskiego.

Już wówczas próba łączenia narodów na platformie rasy wydawała się niebezpieczną, reakcyjną. Inicjatorzy tej próby zdradzali zawsze swoje oblicze, wykazując wbrew swojej woli, że ideologia ich prowadzi do hegemonii Rosji, do zrównania wszystkich narodów słowiańskich pod jeden dziegielowy strychulec.

Oczywiście, bolszewicy również nie chcieli słyszeć o tym hasle, uważając, że hasło „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” sięga dalej i głębiej. Inne narody słowiańskie odrzucały te pomysły, uważając, że linia wspólnych terytorialnych interesów na określonych ziemiach jest realniejsza, niż apel do wspólnoty krwi. Przykład walki anglosasów z Niemcami, pogrzebień Holendrów przez trzecią Rzeszę, zadaje najmocniej kłam wszelkim teoriom o wspólnocie rasy, a propaganda jej czy pod płaszczykiem germanistycznym, czy pod płaszczykiem słowiańskim jest reakcyjna i szkodliwa.

Opieranie przyszłego pokoju na teoriach rasistowskich mogłoby w konsekwencji doprowadzić do tworzenia sztucznych związków — garbatych, rudych lub kulawych. Ale rzecz zrozumiała, że związek krwi jest tutaj tylko pozorem, maską do ukrywania istotnych celów, byłby próbą nawrotu do starej polityki.

Należy zwrócić uwagę na jedną okoliczność, że chorągwie ideologii słowianofilskiej, w Rosji przedrewolucyjnej były naogół carowie, którzy przeważnie sami nie należeli do plemienia słowiańskiego. Trudno bowiem nazwać Katarzynę Słowianką, a tym mniej Mikołaja I, Aleksandra II. Ród Romanowych był bowiem niezależnie od pałacowych brudów miłosnych już w całej pełni zniemczony. Romanowowie w pierwszym rządzie dowiedli wyraźnie, że nie ma mowy o żadnych interesach rasowych, że w grę wchodzi interes imperialistyczny Rosji carskiej, który musi się oblec w ideologię, by usprawiedliwić apetyty i skłonić ofiarę do przeistoczenia się w dar kulinarny na rzecz Rosji carskiej.

Neo-slawizm roku 1908 różnił się tym od ruchów słowianofilskich okresu poprzedniego, że próbował wciągnąć do akcji również i ofiary swej polityki, że sięgnął w aspiracjach politycznych z Bałkanów aż do głębi Europy Środkowej, że odepchnięty z Dalekiego Wschodu maszerował coraz dalej na zachód, licząc, że przednią strażą w tej walce będą Czesi.

W pierwszym roku wojny światowej oddziały czeskie przechodziły istotnie na stronę rosyjską zgodnie z nastrojami słowianofilskimi. Zetknawszy się jednak z rzeczywistością na terenie Rosji carskiej, oddziały czeskie rozczarowały się. Przywódcy ruchu czeskiego starają się nawet wycofać Czechów z Rosji i przenieść legiony do Francji, uważając, że w warunkach rzeczywistości rosyjskiej, wychowani w ramach pozornego konstytucjonalizmu, nie będą mogli w Rosji przygotowywać podstaw do utworzenia przyszłego państwa czeskiego.

W listopadzie 1917 roku, wraz z rewolucją bolszewicką, zostają przerwane snute w ciągu wieków marzenia o Moskwie, jako Trzecim Rzymie. Ustaje mobilizacja Słowian dla celów rosyjskich. Moskwa przeistacza się w okresie natężenia ruchu wolnościowego w Mekkę rewolucyjną. Trwa to dość długo, aż...

Beklaracja Rządu Polskiego w sprawie zamordowanych oficerów polskich

LONDYN, 20 (PAT). — Rada Ministrów na posiedzeniu w dn. 17 b.m., po zaznajomieniu się z wszystkimi informacjami w sprawie oficerów polskich, których zwłoki obecnie odkryto pod Smoleńskiem, i po zapoznaniu się z raportem z Kraju w tejże sprawie, wydała oświadczenie następujące treści:

„Niema Polaka, któryby nie był do głębi wstrząśnięty wiadomością, szerzoną przez niemiecką propagandę z największym rozgłosem, o odkryciu pod Smoleńskiem we wspólnym grobie zmasakrowanych zwłok zaginionych w ZSRR oficerów polskich i o kaźni, której padli ofiarą. Rząd Polski polecił 15 kwietnia b.r. swemu przedstawicielowi w Szwajcarii zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o wysłanie delegacji, która by zbadała na miejscu istotny stan rzeczy. Życzyć sobie należy, by bez najmniejszej zwłoki nastąpiło orzeczenie tej instytucji opiekuńczej, której przypadnie w udziale wyświeślenie sprawy i ustalenie odpowiedzialności. Zarazem jednak Rząd Polski w imieniu Narodu Polskiego zaprzecza Niemcom prawa do czerpania ze zbrodni, które zarzuca innym — argumentów w obronie własnej. Pełne hipokryzji oburzenie propagandy niemieckiej nie zakryje przed światem ponawianych i trwających wciąż zbrodni, dokonywanych na Narodzie Polskim. Rząd Polski przypomina fakty takie, jak: wy-

ciąganie oficerów polskich z obozów jeńców w Rzeszy i rozstrzeliwanie ich za rzekome przestępstwa polityczne z przed wojny, masowe łapanie oficerów rezerwy, wywożonych na powolną śmierć do obozów koncentracyjnych (z samego Krakowa i okolic wywieziono w czerwcu 1942 roku 6000), przymusowe wcielanie polskich jeńców wojennych z terenów nieprawnie włączonych do Rzeszy, w szeregi armii niemieckiej, przymusowy pobór około 200.000 Polaków z tychże terytoriów i rozstrzelanie rodzin tych, którzy zdołali zbiec; wymordowanie półtora miliona ludzi przez egzekucje, oraz w obozach koncentracyjnych; uwłczenie — ostatnio — 80.000 ludzi w wieku poborowym, oficerów i żołnierzy — męczenie i mordowanie ich w obozach w Majdanku i Trebince. Nie poto składa Polska niezmierne ofiary, walczy i znosi nadludzkie cierpienia, aby Niemcy wysuwali beczelne pretensje do występowania w obronie chrześcijańskiej kultury. Krew żołnierzy i obywateli polskich, gdziekolwiek ona była przelana, woła o zadośćuczynienie do sumienia wolnych narodów świata. Rząd Polski piętnuje wszystkie zbrodnie, popełnione na polskich obywatelach, i odmawia prawa wyzykiwania tych ofiar w politycznej grze przez kogokolwiek, kto winien tych przestępstw przeciw Narodowi i Państwu Polskiemu”.

UKRAIŃCY w POLSCE

Artykuł niniejszy otrzymaliśmy od jednego z działaczy politycznych, który nie dawno przybył na Bliżni Wschód z Kraju, gdzie miał możność bliższego wglądu w sprawy ukraińskie. Fakty w nim podane nie zostały jeszcze nigdzie opublikowane.

W następnych numerach pisma ukaza się dalsze artykuły z serii „Ukraińcy w Polsce”: „Dokoła metropolity Szeptyckiego”, „Ukraińska cerkiew prawosławna”, „Ukraińskie partie polityczne”.

I.

PRZYGOTOWANIA WOJSKOWE

PRZED 22 CZERWCA 1941 R.

Jeszcze na długo przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej Niemcy dążyli w Generalnym Gubernatorstwie do ujęcia elementów ukraińskich, zdolnych do noszenia broni, w kadry przysposobienia wojskowego.

Na terenie Województwa Krakowskiego powstały oddziały ukraińskie, rekrutujące się w znacznej mierze z żołnierzy armii polskiej, częściowo dezertersów. Oddziały te, umundurowane, z odznakami „tryzubą”, w maseczkach, szkolone były przez oficerów niemieckich w mistrzostwie wojskowej, ćwiczeniach poligonowych z karabinami, ostrym strzelaniu. Robiły one przez dłuższy czas reklamę ukraińskiego legionu.

Legionu takiego jednak Niemcy nie stworzyli. Przeciwnie, oddziały te zostały po przeszkoleniu całkiem nieznacznie i niepostrzeżenie dla Ukraińców przeniesione na inny teren, przeważnie w głąb Gubernatorstwa, rozparcelowane i wcielone do t.zw. Werkschutzu, złożonego dotąd wyłącznie z Volksdeutsche. Te ukraińskie oddziały Werkschutzu pełnią dziś służbę ochronną w rozmaitych zakładach przemysłu wojennego i użyteczności publicznej.

W r. 1940 utworzyli Niemcy t. zw. ukraińskie szkoły wojskowo-policyjne w Zakopanem, Rabce i Krakowie. Najzdolniejszych uczniów wysyłano po przeszkoleniu za San na robotę agitacyjno-szpiegowską.

MILICJA UKRAIŃSKA

Bezpośrednio po zajęciu Małopolski Wschodniej przez Niemców we wszystkich wsiach i miasteczkach Ukraińcy utworzyli milicje analogiczne do tych jakie istniały za czasów sowieckich i składające się niemal że z tych samych elementów co za czasów sowieckich, ale współpracujące teraz już nie z władzami sowieckimi, a z niemieckimi.

W kilka miesięcy później, jesienią 1941 r., Niemcy zaczęli likwidować te milicje. Ich miejsce zajęła ukraińska policja pomocnicza — Schutzmannschaft, — składająca się przeważnie z byłych milicjantów. Przejęła ona z czasem dawne funkcje policji polskiej w zakresie utrzymywania porządku i została podporządkowana niemieckiej dyrekcji policji.

Wpływ czynników ukraińskich na skład osobowy tej policji był minimalny. Ograniczył się on właściwie do opiniowania i udzielania referencji kandydatom, przyjmowanym do służby przez Niemców. Przyjęcia Ukraińców na oficerów policji zakładały wyłącznie władze policyjne w Krakowie. Kandydaci składają podania poprzez Wydział Pracy i Opieki Społecznej Ukraińskiego Centralnego Komitetu. Podoficerów przyjmuje komenda policji we Lwowie. Podania składa się tu poprzez oddział UCK we Lwowie.

UKRAIŃSKA ARMIA NARODOWA

Na terenie Rzeszy Niemcy podjęli akcję wydzielania Ukraińców z obozów jenców sowieckich i tworzenia z nich odrębnych od rosyjskich obozów ukraińskich. Wśród Ukraińców, zgromadzonych w obozach, przeprowadzono intensywną akcję propagandową. W Berlinie wychodzi specjalnie dla nich poświęcony tygodnik p. t. „Nowa Doba”, którego atrakcyjność polega przede wszystkim na pośredniczeniu w odszukiwaniu zaginionych, rannych, jenców oraz podawaniu wiadomości o losie innych Ukraińców zabitych lub znajdujących się w niewoli.

Po przeprowadzeniu odpowiedniej akcji propagandowej oraz pewnej selekcji tworzone są z owych jenców ukraińskich obozy przygotowawcze wojskowe. Obozy te organizowane są na Ukrainie. Jak podaje prasa ukraińska, obejmują one ponad 150.000 ludzi. Z obozów tych mają być sformowane ukraińskie pułki liniowe, które Niemcy chcą posłać na front.

Oprócz tego na terenie Ukrainy oraz tych ziem polskich, które wchodzi w skład Reichskommissariatu für Ukraine, mają być tworzone odrębne ochotnicze oddziały ukraińskie na wzór istniejącego już zagonu sotnika Tymczeni, który brał udział w walkach na Krymie, gdzie się też wyróżnił i został odznaczony przez dowództwo niemieckie. Kadry te mają się stać zawiązkiem ochotniczej ukraińskiej armii narodowej, na rzecz której rozpoczęto już akcję werbunkową na obszarze Komisarjatu Wołynia i Podola. W dystryktie Galicyjskim na ten temat — jak dotąd — jest zupełnie cicho. Liczebność tej armii ma sięgać 2 milionów żołnierzy. Podobno są już sformowane dwa korpusy.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że Ukraińcy galicyjscy i wołyńscy, pochodzący z kół byłych wojskowych UNR, USS i innych, są od bezpośredniego udziału w tworzeniu kadr ukraińskiej armii narodowej przez władze niemieckie odsuwani i zasadniczo nie przyjmowani do jej szeregów. Armia ta zatem ma się składać wyłącznie z elementów wojskowych, pochodzących z Ukrainy sowieckiej, przyczem jako liniowa formacja pomocnicza podporządkowana jest dowództwu SS.

OPIEKA NAD JEŃCAMI UKRAIŃSKIMI

W ścisłym związku z tą akcją pozostaje działalność opiekuńcza Ukraińskiej Krajowej Komisji Pomocy Jeńcom. Działła ona zwłaszcza na terenie t. zw. „przechodzących starych”, to jest przejściowych, etapowych placówek jeńców sowieckich, jadących na zachód do owych, wyżej wspomnianych obozów. Akcja tego komitetu ma charakter charytatywno-społeczny. Obejmuje ona nie tylko Małopolskę Wschodnią, ale obszar całego niemal Generalnego Gubernatorstwa. Na jej czele stoi dr. Teofil Worobiec, były oficer ukraiński.

Na terenie Komisarjatu Ukrainy akcją opieki nad jeńcami Ukraińcami zajmują się miejscowe organizacje ukraińskie, wśród których wyróżnia się element wojskowy z byłej armii UNR.

PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE MŁODZIEŻY

Od samego początku Ukraińcy dążyli do tworzenia pod okupacją niemiecką własnych oddziałów o charakterze wojskowym w rodzaju np. „Siczy”, „Sokołów” czy „Łuhów”, władze niemieckie nie zezwoliły jednak na realizowanie tych zamiarów. Popierały za to próby organizacji wychowania fizycznego młodzieży ukraińskiej, zakładania stowarzyszeń sportowych, tworzenia nowego „Plasta”.

Ukraińcy skorzystali z tej okazji bardzo skwapliwie.

Przy Ukraińskim Centralnym Komitecie istnieje Wydział Opieki nad Młodzieżą. Szkoli on przede wszystkim kadry referentów opieki nad Młodzieżą dla komitetów okręgowych, jako też organizatorów wychowawców. Są oni przeszkalani na kursach instruktorskich. Kursów takich było dotychczas cztery, wszystkie w Krynicy. Wyszły z nich ponad 170 pracowników młodzieżowych. Obecnie przewidziane są nowe obozy dla instruktorów wychowawców młodzieży w Brzuchowicach pod Lwowem i w Krynicy.

Na terenie Gen-Gouvernement do Sanu i Bugu wszystkie referaty młodzieży obsadzone są obozowcami. Dążeniem Centralnego Komitetu jest doprowadzenie do takiego samego stanu na terenie Dystryktu Galicyjskiego.

Głównym referentem opieki nad młodzieżą przy Centralnym Komitecie jest prof. Filaret Łukjanowicz, przedstawiciel Undo. Komendantem obozów jest prof. Adam Antonowycz. We Lwowie sprawami młodzieżowymi zajmuje się ks. prałat Wasyl Łycyniak, w Krynicy referat młodzieżowy ma w swym ręku magister Roman Łewicki, reprezentujący młode pokolenie nacjonalistów ukraińskich, mąż zaufania OUN. W dystryktie warszawskim referat młodzieży powierzone p. k. Nykole Pogotowce, petlurowcowi.

Na tle działalności tych organizacji akcję konspiracyjną dla przyszłości organizuje pewien ukraiński wyższy oficer, przedstawiciel wojskowego sztabu OUN, specjalista od partyzantki, oficjalnie poświęcający się odbudowie stowarzyszeń sportowych.

W świetle tej akcji dopiero można w sposób właściwy ocenić działalność obozów, których oficjalna ukraińska nazwa brzmi „Instruktorski Tabory dla Wiedania Kurenów Młodzi ta Junactwa”. Gdzie się tylko da, organizuje się defilady owych „kurenów”. Maszerują one pod żółto-błękitnymi sztandarami, śpiewając „Szczę na wmerła Ukraina”.

Patronuje temu, tworzona we Lwowie przez starsze społeczeństwo, „Ukraińska Służba Batkiwszczyny” i „Zinocza Służba Ukrainy”, wspomagając moralnie i finansowo zarówno kursy wyszkolenia organizatorów, jak obozy polowe i służbę sanitarną wśród kobiet. Wszystko to żywo przypomina lata 1911—1918. Strona ukraińska zresztą wyraźnie powołuje się na wzory z tamtego okresu.

Nie ma dziś wprawdzie ani Siczy, ani Sokółów, ani Łuhów, ani Ukraińskiego Związku Sportowego, których działalność zamarała w r. 1939, lecz po miastach i wsiach rosną jak grzyby po deszczu Kurinie Młodzi i Kurinie Junactwa, sportowe „hurtki”, drużyny stowarzyszeń sportowych, powiatowe i miejskie reprezentacje, sportowe reprezentacje szkół średnich, odzyskują stare kluby sportowe, powstają organizacje nowego „Plasta”, tworzą się stałe i wędrownie obozy imienia Iwana Bohuna, Kniazia Jarosława, Mazepy, Bohdana Chmielnickiego, Żeleźniaka, Naliwajki.

Organizatorzy organizacji ukraińskich nie próżnują. Profesor Antonowycz odbiera defilady, profesor Kubyjowycz wraz z p. k. Bizancem objeżdża teren w celach inspekcji, profesor Łukasiewicz zakłada referaty, podreferaty, obsadza mężów zaufania. Organizacje sportowe urządzają co pewien czas zawody z drużynami wojskowymi niemieckimi. Po lasach kipi życie w ukraińskich obozach wychowania fizycznego.

ZAGADNIENIA NIEMIECKIE

Sprawa „dobrych Niemiec” w amerykańskiej opinii publicznej

W sprawie stosunku do Niemiec w Stanach Zjednoczonych panuje duża dezorientacja i znaczne różnice poglądów. Należy pamiętać, iż w Stanach Zjednoczonych żyje około 20 milionów obywateli pochodzenia niemieckiego i że w uniwersytetach amerykańskich wpływy niemieckie, od dawna silne, zostały ostatnio wzmocnione przez napływ wielu wybitnych uczonych i profesorów niemieckich, uchodźców z Trzeciej Rzeszy.

W miarę zbliżania się końca wojny kół niemieckie w Stanach Zjednoczonych — zarówno Niemcy, obywatele amerykańscy, jak i obywatele z Rzeszy — objawiają coraz żywszą działalność, napotykając na grunt podatniejszy niż w Wielkiej Brytanii. Organizacje niemieckie szerzą wiarę w „dobre Niemcy”, postępując się takimi np. pomysłami propagandowymi, jak umieszczenie w szeregu głównych dzienników amerykańskich całostronowego ogłoszenia, przedstawiającego wizerunek głowy Chrystusa według rysunku Dürera, z tekstem, który podnosi, iż Niemcy przez długie wieki „stali w pierwszych szeregach cywilizacji i że tylko hitlerzyzm deprawuje dusze niemieckie”. Równocześnie zamieszczono apel, nawołujący do popierania organizacji „Loyalnych Amerykan pochodzenia niemieckiego” („Loyal Americans of German Descent”).

Największe dzienniki amerykańskie, „New York Times”, stale mocno akcentuje różnicę między reżimem hitlerowskim a narodem niemieckim. Niepokojąco przedstawiają się też niektóre projekty, opracowywane przez różne amerykańskie instytucje, zajmujące się „celami wojny”. Tak np. w ramach wydawnictwa „Sprawozdania z polityki zagranicznej” ukazują się w lutym b. r. opracowanie p. Very Michelsa Dean p. t. „Jaka przyszłość dla Niemiec?”. Autorka nie zajmuje się tu zupełnie zagadnieniem zabezpieczenia państw sąsiadujących z Niemcami. Wyraża ona wątpliwość co do celowości jednostronnego rozbrojenia Niemiec, przy czym w szczególności wypowiada się przeciwko projektom niszczenia ciężkiego przemysłu niemieckiego. Wyrażnie też jest ona przeciwna nie tylko rozczłonkowaniu Niemiec, ale także i odrywaniu od nich jakichkolwiek obszarów na rzecz sąsiadów.

Nie lepiej wyglądają projekty, przedłożone w 123 numerze biuletynu „Institute of International Finance of New York University” z dn. 11 stycznia 1943 r. Znajdujemy tam uwagi na temat odbudowy Europy, w których proponuje się jeszcze łagodniejsze potraktowanie Niemiec, niż to pragnie uczynić p. Dean.

Rzecz prosta, nie brak w Ameryce głosów, stwierdzających, że dziś prawie całe Niemcy, a w każdym razie przytłaczająca większość młodego pokolenia niemieckiego jest zatruta i że wymagać ono będzie długiego okresu wychowawczego. Jest to w znacznej mierze teza oficjalna. Prezydent Roosevelt w swej mowie na otwarcie Kongresu powiedział, że Niemcy „muszą być rozbrojone i utrzymywane w stanie rozbrojenia oraz muszą porzucić swą filozofię i nauczanie tej filozofii, które przyniosło tyle cierpień światu”. Wiceprezydent Wallace ze swej strony kilkakrotnie mówił o konieczności wychowania „nowych Niemiec”. W swym przemówieniu z dnia 8 marca b. r. Wallace wyraźnie stwierdził, że źródłem zła w Niemczech jest nie tylko hitlerizm, ale dużo starsza tradycja polityczna, militarna i wychowawcza, którą określił mianem „prusactwa”. Równocześnie oświadczył, iż wierzy, że antyhitlerowskie uczenie niemieckie zdołają przeprowadzić akcje reedukacji swego narodu, — twierdzenie, które musi wywołać jak najpoważniejsze wątpliwości i które powstało niewątpliwie pod wpływem wyżej wspomnianych niemieckich kół uniwersyteckich.

Z ostrych głosów antyniemieckich warto jesz-

cze wymienić artykuł p. George'a Crela, zamieszczony w styczniowym zeszycie jednego z najważniejszych miesięczników amerykańskich „The American Mercury” p. t. „Kłamstwa niemieckie na temat Wersalu” i artykuł Rexa Stouta p. t. „Będziemy nienawidzić albo też przegramy”, jaki ukazał się w „New York Times Magazine” z dn. 17 stycznia b. r.

Czy możliwy jest w Niemczech przewrót komunistyczny?

Na pytanie to stara się odpowiedzieć Axel Heyst w marcowym zeszycie „The National Review”. Odpowiedź wypada twierdząco.

Autor rozpoczyna swoje wywody od stwierdzenia, że nie można spodziewać się szybkiego załamania się Niemiec. Niemcy dysponują jeszcze niewygranymi atutami. Możliwy jest wojskowy „putsch”, który usunąłby Hitlera i jego otoczenie i sprezentował światu „inne” Niemcy. Największy szkopuł dla ewentualności takiego „putschu” to brak w kółach wojskowych przywódcy politycznego na większą skalę, takiego jakim był np. v. Schleicher czy v. Fritsch. Mimo to nie jest rzeczą wykluczoną, że kół Wehrmachtu przy poparciu „Herrenklubu” i części Junkrów będą się starały zdobyć władzę, licząc na poparcie pewnych sfer angielskich.

Prawdopodobniejsza jest jednak inna ewentualność: przewrót komunistyczny.

Dzieje komunizmu niemieckiego po r. 1933 otoczone są mgłą tajemnicy. Nie wiemy, jakimi siłami dysponują obecnie komuniści niemieccy. Nie należy jednak zapominać, że setki tysięcy komunistów niemieckich wstąpiło do SS czy SA. Może postąpił on tak na polecenie swej centrali zgodnie z komunistyczną zasadą „penetracji”, a może uczynił to z przekonania: zmienili kolor czerwony na brunatny, ale zostali przecież nadal zwolennikami doktryny siły.

Zdaniem autora, po r. 1933 komunizm niemiecki został tylko rozproszony, ale nie zgnieciony. Gdy będzie źle, Hitler może posłużyć się nim dla swych celów.

Sierpień r. 1939, kiedy Berlin związał się paktem z Moskwą, i czerwiec r. 1941, moment wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej były — twierdzi p. Heyst — momentami przełomowymi w dziejach komunizmu niemieckiego. Dokonał on wtedy zmiany orientacji. Odwrócił się od Moskwy i zaczął głosić hasła „komunizmu kontynentalnego”, którego centrala znajdowałaby się w Niemczech.

Autor opiera swą tezę na przestudiowaniu prasy podziemnej krajów, znajdujących się pod okupacją niemiecką. Twierdzi, że komuniści niemieccy prowadzą zorganizowaną akcję łączności z ośrodkami komunistycznymi innych krajów kontynentu.

Co jednak najciekawsze, akcja ta ma być prowadzona nie bez wiedzy a bez sprzeciwu rządu niemieckiego. Dla autora nie ulega wątpliwości, że komunizm niemiecki rozporządza świetną organizacją oraz że rozwinął on żywą działalność propagandową wśród wielomilionowych mas robotników cudzoziemskich, pracujących na terenie Rzeszy, wysuwając tu hasło „solidarności robotników europejskich”.

Jest rzeczą zadziwiającą — podkreśla autor — jak niewiele wydano wyroków na komunistów niemieckich za sabotaż czy szpiegostwo. Odnosi się wrażenie, jakby Gestapo było spokojne, że z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo.

Jest więc rzecz możliwa, że istnieje cichy układ między hitlerowcami a komunistami niemieckimi. Hitler trzymałby ich w odwodzie, aby za ich pomocą wywalczyć supremację Niemiec na kontynencie europejskim, mimo przegranej militarnej, drogą objęcia przez Niemcy kierownictwa nad rewolucją komunistyczną w Europie. Być może, że komunizm odgrywa tu rolę ideologii odwo-
dowej imperializmu niemieckiego.



ATRAKCYJNY PROGRAM ARTYSTYCZNY

z znakomitą tancerką Teatrów Warszawskich

ELA ANTOSZÓWNA
na czele.

ZWIĄZEK KOMBATANTÓW UKRAIŃSKICH

Niezależnie od tej oficjalnej dziedziny życia młodzieżowego wre tajna praca organizacyjna w ukraińskich kółach i ośrodkach ściśle wojskowych.

Na zewnątrz, za wiedzą władz niemieckich, istnieje tylko Związek Kombatantów Ukraińskich, mający cprawda swoje przedstawicielstwa i komórki terenowe, lecz będący jak gdyby tylko honorowym związkiem uczestników walk wyzwoleniczych. Kto się jednak przyjrzy bliżej składowi osobowemu Związku, rozplanowaniu jego sieci organizacyjnej oraz jej zasięgu w terenie, ten nie może mieć wątpliwości, że poszczególne jednostki prowadzą dużo szerszą akcję.

Centrala Związku mieści się w Warszawie. Grupa ona w swoim gronie przeważnie ludzi z obozu UNR, ale jest także związana z ugrupowaniami byłych kombatantów, z grupą t.zw. „Czerwonej Kałyny” i z „Młodą Hromadą”, które dążyły do wojny 1939 r. w Małopolsce Wschodniej. W przeciwstawieniu tylko do czasów przedwojennych, gdy ruchy byłych wojskowych rozbieły na różne orientacje i kierunki polityczne (Petlurowców, Skoropadczuków, Konowalców, Palijewców i zwolenników gen. M. Omelianowicza-Pawlenki), nastąpiła tu obecnie ścisła konsolidacja dążeń do działań przygotowawczych pod hasłem

zbliżenia się i współpracy w razie odpowiedniej dla wyzwolenia koniunktury polityczno-wojskowej. Podzielono zadania i role oraz wyznaczono ludzi. Praca organizacyjna wre nieustannie. Teren Małopolski Wschodniej, podobnie jak teren Łemkowszczyzny, Zasania i Zabuża, Chełmszczyzny i Podlasia, obszar Komisarjatu Ukraińskiego poddany został penetracji ścisłego ruchu wojskowego. Rozmieszczano odpowiednich fachowców, byłych wojskowych ukraińskich, pod wszelkimi możliwymi pokrywami: przewodniczących komitetów, pracowników spółdzielni, nauczycieli, pracowników Masłosojuza, Silskiego Hospodara, wójtów, pisarzy gminnych, referentów młodzieżowych, kulturalno-oswiatowych. Dlatego na tych stanowiskach widzimy dziś tak dużą i niewspółmierną ze stanem przedwojennym ilość wojskowych z kraju i z zagranicy.

Nie ulega wątpliwości, że Ukraińcy dążą do stworzenia własnej siły zbrojnej. W tej dziedzinie zgodne są między sobą wszystkie ukraińskie ugrupowania polityczne i ugrupowania byłych wojskowych. Na tym odcinku, a w szczególności na odcinku wychowania i przysposobienia wojskowego młodzieży nastąpiła może nie umówiona, ale faktyczna konsolidacja społeczeństwa ukraińskiego. Ukraińcy liczą się z możliwością, że w razie opuszczenia tych ziem przez Niemców otrzymają od nich broń i wyposażenie.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSZY JERUZOLIMSKIE

Ściana Płaczu

Kilka starych kamieni,
i płacz — przez tysiące lat...
Gdybym mógł to zamienić
na Wierzbową i Nowy Świat,

szedłbym z Ziemiańskiej do Ipsu,
płacząc rzewnymi łzami,
a we mnie Apokalipsa,
babilońskimi rzekami

łkałoby i szlochało
Jeremjaszową pieśnią
serce, to znaczy — chaos,
warszawskie serce po Wrześniu...

Ten wiersz, który krwawi i sztydzi,
te słowa nic już nie znaczą:
przyszłem tu płakać, Żydy,
pod Ścianą Płaczu.

Via Dolorosa

Jerozolimskie kamienie,
jerozolimskie wieki...
To tu, na kosmicznej scenie,
tragedją dziejów dalekich

działo się, zapodziało
w lat i wydarzeń tłumie:
„słowo ciałem się stało” —
słowo trafiło do sumień.

Jerozolimskie ulice,
Via Dolorosa...
Na zakrętach tablice,
zgroza:

Tu bili. Tu padł. Szedł dalej,
drewno dźwigając z bólem.
Znów bili i pytali:
„Kto jest żydowskim królem?”

Ciernie na głowie.
Sam wśród gawiedzi ulicznej.
Dobry człowiek.
Więzień polityczny.

I dlaczego moja pamięć krwawa,
jak kalwaryjskie piki,
to jedno zawarła: Warszawa —
chusta Weroniki?

Nie przyszedłem tu szukać Boga.
Ja jestem żołnierz piechoty.
Ja wiem, że jedyna droga
do Polski
— to droga Golgoty.

Grób Tamerlana

Człowiek jest dobry, mądry, spokojny,
zbrojny w swój rozum, w myśl niepodległą,
głodu, powietrza, ognia i wojny
nie chce i stawia cegłę za cegłą.

Jakże są piękne stare mozaiki
na tym grobowcu władcy i pana...
Z więzień i tęsknot, z prawdy i z bajki
oto wstąpiłem w grób Tamerlana.

Pędzą przez Persję konie kirgiskie,
wali się w gruzi pałac i meczet.
Jakież dalekie, ach! jakież bliskie —
ogniem i mieczem... ogniem i mieczem...

Jakiż jest zasięg strzały mongolskiej?
Bagdad strzaskają, w Moskwę uderzą,
przez Ukrainę dojdą do Polski —
ogniem i mieczem, łuną i rzezią.

Potem marmurem czarnym grobowca
pyszni się władca, pyszni się sprawca.
Kroczy historją, coraz surowsza.
Życie się sprawdza. Śmierć się nie sprawdza.

Groby murszeją, giną religie,
armje topnieją, mrą ich wodzowie,
krew do podglebia wsiąka i stygnie, —
drzewo porasta nowem listowiem!

Człowiek jest dobry, mądry, spokojny,
pola chce orać, piękne i żyzne,
głodu, powietrza, ognia i wojny
nie chce, i w siebie wierzy: w ojczyznę.

A kiedy będę umierać...

A kiedy będę umierać,
skoro umierać mam,
ty nie bądź przy tem i nie radź —
już ja potrafię sam.

Ja chcę mieć oczy otwarte
i podniesioną skroń,
chcę umrzeć ot tak — nawpół żartem,
a w rękę niech będzie broń.

Niech mi przywieją wiatry
brzęczenie dalekich pszczoł,
niech Wisłę zobaczę i Tatry,
wszystko com kochał i czuł.

Persja

Górą cyprysy, a wdole
gaje oliwne.
Szczyty z chmurą na czole,
w blasku przedziwnie.

Wąż płynnego topazu
— potok w dolinie —
pełnie z gór i odrazu
w szczęśliwość płynie.

Szlakiem gniewnej historii,
niesyte wojny,
pędzą zdyszane motory
przez kraj spokojny.

Obce potężne armje
przemierzają szlak ten,
krew tę ziemię ogarnie,
nim wsiąknie w naftę.

Ale dziś tak tu lekko pierśom,
na lzy za wcześnie...
Piękna jesteś, o Persjo,
jak ziemia polska przed Wrześniem.

Wystarczy, żeby mnie uczyć,
czyjś krótki, serdeczny płacz.
Przyjaciele niech przyjdą narzucić
na trupa żołnierski płaszcz,

niechaj złożą mnie w ziemię czerstwą
tam gdzie padnę — na świecie gdzieś,
niechaj wspomną moje żołnierstwo
i niepodległą pieśń,

a potem niech idą w pola
ojczyste krew przelać z żył.
Taka jest moja wola.
Potom śpiewał i żył.

Damaszek

W Damaszku — jak w Zawichoście,
albo jak w Wyszogrodzie:
stoję na moście,
przeglądałem się w wodzie.

Po świecie mnie dokądś niesie,
jak zwykle, nie mam forsę.
Paraduję tu w battle dressie:
captain of Polish Forces.

Fiołki kwitną w Damaszku.
Wiosennie. Nie mam co robić.
Chciałbym, jak djabeł na daszku,
fiołkami czapkę ozdobić.

W mieście białutkiem,
pnącem się wgórę,
piszę ze smutkiem
liryczną bzdurę

i wspominam, jak mojej najdroższej
w Alejach Ujazdowskich
kupowałem za pięćdziesiąt groszy
pierwsze pierwosenki.

KSIEŻYC ZASZEDŁ...

The moon is down. Novel by John Steinbeck.
Londyn—Toronto. Heinemann 1942; str. 4 nł. i 120.

Jeżeli prawdą jest stare, jacińskie przysłowie,
że „inter arma silent Musae”, to czytając ostat-
nią powieść amerykańskiego autora Johna Stein-
becka, p.t. „Księżyc zaszedł”, stwierdzić musimy,
że stanowi ona rzadki wyjątek.

Założeniem opowieści Steinbecka jest stwier-
dzenie, że wolność jest nie tylko cechą prawdzi-
wego człowieczeństwa, ale jego największą siłą,
której nie nie przemoże. Konflikt obecny spro-
wadza do przeciwstawienia sobie dwóch światów:
świata ludzi wolnych i świata niewolników.

Bohaterem tego w formie powieści ujętego
dramatu jest małe norweskie miasteczko, zdobyte
przez niemieckich najeźdźców.

Gdy minął pierwszy moment zaskoczenia („tak
dawną nie byliśmy przez nikogo podbici...” —
tłumaczy się burmistrz Orden), ludność rozpoczyna
walkę. Z dnia na dzień krzepnie opór: zni-
kają bez śladu niemieccy żołnierze, psują się ma-
szyny w kopalni węgla, tak bardzo najeźdźcy
potrzebny, mnożą się sabotaże na linii kolejowej,
coraz częściej dochodzi do buntów i rozruchów.

Najeźdźca zaczyna pomaję rozumieć. Kształ-
cono go i przygotowywano wyłącznie do zwycie-
stwa, do wkraczania ulicami zasłanymi kwieciami...
Dano mu najnowocześniejszą broń, dano mu siłę,
zapewniano go, że jest odważniejszy i mocniejszy
od innych. Nie powiedziano mu jednak, że przy-
dzie mu żyć w atmosferze nienawiści i pogardy,
że na jego widok głowy podobnych mu ludzi będą
się odwracać, a pięści zaciskać, że jasnowłose
dziewczeta (jakże podobne do jego siostr — tam
w kraju...) zimne będą dla niego, jak mroźny,
północny śnieg.

„I stało się, że zwycięzcy poczęli lękać się
zwyciężonych i nerwy ich poczęły odmawiać po-
słuszeństwa. I strzelali do cieniów po nocy. Chłod-
ne, pohnię mileczenie towarzyszyło im wszędzie.
Zdarzyło się, że trzech żołnierzy postradało zmysły
w ciągu jednego tygodnia. Krzyżeli oni przez całą
noc i cały dzień, dopóki nie odesłano ich do
domu”. Nie lepiej jest z oficerami. Łatwe było
zwiększenie nad nieuzbrojonym przeciwnikiem, ale
gorzkie są tego zwycięstwa owoce: „Pobiliśmy
ich, zwyciężyliśmy wszędzie, a oni czekają po-
słuszni, czekają...”

Mnożą się egzekucje i represje. Rozstrzelują
się opornych i stwarza nowych mścicieli. „To jest
jedyna rzecz, którą potrafimy, — jedyna...” mówi
pułkownik Lanser, człowiek „obdarzony pamięcią”,
który w poprzedniej wojnie brał udział w okupacji
Belgii. On dobrze rozumie, co się dzieje, on wie,
do czego to prowadzi. Ale jest tylko żołnierzem,
zadaniem jego jest wykonywać rozkazy.

Gdy nie pomagają egzekucje, gdy coraz więcej
młodych ludzi opuszcza ujarzmiony kraj, by w ło-
dziach rybackich żeglować ku Anglii, gdy mnożą
się katastrofy w kopalni i na kolejach, a na ma-
tych, niebieskich spadach spadają opusz-

czane z brytyjskich samolotów ładunki dynamitu,
którymi ludność posługuje się w swej działalności
sabotażowej, okupanci zatrzymują burmistrza Or-
dena jako zakładnika. Pierwszy nowy zamach
dynamitowy będzie dlań wyrokiem śmierci. Lud-
ność kocha go i szanuje. Może oszczędzi jego
życie? Orden wie, że tak nie będzie, i nie pragnie
tego. Wie, że lonty zapalają się będą nadal, dopóki
najeźdźca nie opuści zdobytego, ale nie pokona-
nego kraju.

Spokojnie patrzy śmierci w oczy. Uważa ją za
prostą konieczność, nie za bohaterstwo. W salo-
niku „pałacu” burmistrza odbywa się ostatnia roz-
mowa Ordena z jego przyjacielem, doktorem Win-
terem. Padają słowa słynnej przedśmiertnej mowy
Sokratesa, cytowane z pamięci przez burmistrza.
Nigdy nie był on dobrym uczniem, ale teraz,
w obliczu śmierci, słowa dawno zapomniane wra-
cają ze wspomnień młodości, jakby czekały uspio-
ne gdzieś na dnie pamięci na tę właśnie, ostatnią
jego życia godzinę.

I gdy przychodzą żołnierze, by wyprowadzić
Ordena na miejsce kaźni, uśmiechnięty starzec
żegna przyjaciela jeszcze jednym sokratesowym
zdanem: „Nie zapomnij, Krytiasie, że winien
jestem koguta Eskulapowi. Czy będziesz pamiętał
o spłaceniu długu?”

Winter zamknął na chwilę oczy, nim odpo-
wiedział: „Dług będzie spłacony!”

Na tym urywa się opowieść Steinbecka. Ale
poprzez tragizm tej śmierci i śmierci tylu innych
ofiary przemocy najeźdźcy, przebijają niezłomny
 optymizm i niezachwiana wiara w wyższość sił
moralnych, w przewagę świadomej woli nad ślepe
siłą ciemnoty i barbarzyństwa. Autor wierzy w
człowieka, w jego godność, w trwałość tych naj-
istotniejszych wartości, jakie dają ludzkości cywil-
izacja chrześcijańska. Rzucił on akcję na tło, na-
suwające nam przypuszczenie, że chodzi tu o Nor-
wegię. Ale nie sprecyzował tego. I słusznie.

Powieść jego nie jest reportażem, ani opisem
konkretnych, aktualnych wydarzeń: jest tylko
symbolem i syntezą tego, co przeżywa dziś Europa
pod jarzmem germańskich barbarzyńców. Nie ma
w tej książce ani jednego akcentu propagando-
wego, zacietrzewienia, demagogii. Autor patrzy na
tragedię Europy z daleka, lepiej: — z wysokości.
Nad czynami zwyciężonych i czynami najeźdźców
unoszą się nieublagane fatum greckiej tragedii,
które każe jednemu i drugiemu żyć i postępować
według własnego prawa, według pewnej linii, zgod-
nej z ich prawdziwą, czy fałszywą wiarą.

Wyrzekłszy się wszelkiej propagandowej ga-
daniny, Steinbeck dał na krótkich 120 stroni-
cach rzecz propagandową w najlepszym tego słowa
znaczeniu. Słowo „demokracja” nie pada w niej
ani razu, ale cała atmosfera środowiska przesycona
jest najczystszy jej duchem, niby światłem słoń-
nych, dwóch poglądów na świat, przeprowadzone
jest w taki sposób, że nie ma miejsca na wątpli-
wości po której stronie jest nie tylko Prawda, ale
nawet i Siła.

Ewa Mieroszewska.

Róża Saronu

Nad Jeruzalem hamsin i deszcze
przeszły, pogodnie już,
tylko srebrzyste łzawią się jeszcze
krople na płatkach róż.

Ponad tą ziemią w przeszłość wmodloną
pełno biblijnych słów.

Nie wiem, co znaczy Róża Saronu,
z czyich wykwitła snów.

Może w hebrejskich płacze melodjach
nad ruinami miast,
może chaldejski wykrył ją Zodiak
wśród babilońskich gwiazd?

Może dziewczynie jaspisookiej
przed tysiącami lat
upadł aż na dno studni głębokiej
ten tajemniczy kwiat?

I zapłakała, biorąc na głowę
wody gliniany dzban,
poszła przez chłodne gaje palmowe,
poprzez pszeniczny łan,

sza, kołysząca śpiewnie biodrami,
jakby przez cmentarz chwil...
W dali widniały szczyty piramid,
błyszczał błękitnie Nil.

Ja od Libanu po górę Synaj
takich szukałem róż!
Szukać przestałem. Szukać zaczynam.
Może za późno już?

Może to róża z twego wazonu,
którą mi dałaś dziś?
Może ty jesteś Różą Saronu,
może się tylko śnisz?

Rady dla turystki w Jerozolimie

Wsiądź w dziewiątkę i jedź do końca,
na górę Scopus.
Tam stಾನiesz w kurzawie słońca,
jak nad wodami potopu
tęcza oślepiająca.

Stoi nad Martwem morzem
cherub o twarzy miedzianej.
Polata nad Jordanem
orzeł.

Dziewięćsetletni prorocy
idą przez białe pagórki.
Anioł trzyma w swej mocy
Lota i jego córki.

Spoglądasz cicha
na białe, kamienne domy.
Pamiętaj o ogniach Sodomy,
pamiętaj o trąbach Jerycha.

Zielenią się łąki kwietniem.
Wiedzie Jakub synów dwunastu.
Zwróć twarz ku Staremu Miastu,
ku grobom tysiącletnim.

I radość twoją i ciebie
wciąż ściga cmentarz.
Samoloty w warszawskim niebie
pamiętasz?

Spójrz na północ, na Siedem Sióstr, —
któż je zamienił w kamień co płacze?
Kamienieją tak w posąg rozpacz
ludzie zaciętych ust.

Dalej na północ — błękit i mgła,
świat nieprawdziwy, cały ze szkła,
i widać, jaki jest krwawy.
Tamteży będziesz szła
do Warszawy.

Spojrzeń mych Wisła
jeszcze cię raz opłynie.
Tęcza prysła.
Na Katamon wrócimy o szarej godzinie.

STANISŁAW BALIŃSKI

PRZESTRZEŃ ŻYCIOWA

Te smutne słowa: „Przestrzeń życiowa“ wymyślił pierwszy Japończyk, kiedy zaczęli zajmować Mandżurię.

Widzę tę przestrzeń: rozległą i pustynną, pokrytą w zimie rudymi łóżkami zamazanego piasku, lub zaproszoną naprzemian sykkiem i śnieżnym śniegiem. Niebo nad nią było mroźne i przezroczyste. Po niebie toczyło się słońce, przybierając w zależności od pory dnia trzy barwy światła. Rano było ośniewające srebrne, w południe nasycano świat trzaskającym złotem, a pod wieczór stawało się purpurowe i jak czerwony, egzotyczny owoc przepadało w czeluściach pustyni Gobi.

Z oddali nadciągał głuchy krok armii japońskiej, która szybko i mechanicznie zagarniała ową cichą, zimową „przestrzeń życiową“. Był styczeń 1932 roku, i Japończycy zbliżali się do Charbina, gdzie byłem wówczas wicekonsulem.

Ludność chińska chodziła po mieście w puzystych watowanych szubach, koloru zimowego nieba w południe. Spotykając znikane twarze, które zdawały się mówić: „Świat mógłby być taki piękny, tak mało od niego chcemy... Dajcie nam żyć!“ Ale należeli do „przestrzeni życiowej“ przeznaczanej dla silniejszych i fatalistycznie opuszczali głowy.

Żołnierze chińscy wydawali się pełni animuszu, ale zauważyliśmy szybko, że nie mają żadnego uzbrojenia. Maszerując przez miasto, śpiewali jakieś pieśni.

— Co oni śpiewają? — spytałem Dżenga, służącego Konsulatu.

— Oni śpiewają nasze pieśni szantunskie. Oni prawie wszyscy pochodzą z Szantunia i z Szansi i śpiewają pieśni o swoich wioskach rodzinnych.

Pewnego dnia w końcu stycznia obudził nas huk strzałów. Rozpoczęła się „bitwa“ o Charbin, która nie trwała dłużej, niż dwie doby. Pod wieczór tego dnia pisałem raport do Ministerstwa o sytuacji, gdy do pokoju wszedł Dżeng i zapytał, czy może zaprosić gości na herbatę. Zdziwiło mnie, że wybiera taką porę na przyjęcie, ale nie wyraziłem sprzeciwu. Ktoś dziesiąty poszedłem do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty, i zobaczyłem kilkunastu żołnierzy, otoczonych gromadą wystraszonych kobiet i dzieci, z tobojami i zawiniętymi. Chmura zaduchu unosiła się w powietrzu. Na moje wejście zerwali się wszyscy z podłogi, jak gdyby zakłopotani, choć wyznać muszę, że sam czułem się nie mniej zakłopotany od nich.

— To moi goście, — powiedział Dżeng, — wszyscy pochodzą z Szantunia.

Ukłoniliśmy się sobie uprzejmie z zachowaniem przepisowej grzeczności. Do późna w nocy pisałem mój raport, a z kuchni dochodziły stłumione głosy i szepoty, czasem szloch kobiety. Gdy szedłem do siebie na górę, usłyszałem dźwięk skrzypiec. Ktoś zaczął grać tę samą nostalgiczną melodię, którą śpiewali żołnierze (melodię o wioskach rodzinnych). Zegar wybił drugą.

Nazajutrz rano w kuchni nie było nikogo: pokój był uprzątnięty, wywietrzony, na kominku palił się ogień.

— Wyjechali już, — rzekł smutnie Dżeng, — wyjechali z powrotem do Szantunia. I na zawsze... Prosił, żeby panu konsulowi podziękować — dodał.

W dzień później Charbin był zajęty. Stało się to, jak gdyby niedostrzeżalnie. Wyszliśmy po prostu rano na miasto i wszędzie powiewały chorągwie japońskie. Dzielnica chińska została otoczona i zamknięta, a dochodzące stamtąd strzały mówiły, że Japończycy rozpoczęli organizowanie swojej przestrzeni życiowej.

W południe zadzwonił do mnie konsul amerykański, człowiek pełen temperamentu i interesujący się wszystkim, i zapytał, czy nie pojechałbym z nim na „zwiedzenie frontu“. Chciał pojechać gdzieś dalej za miasto i zobaczyć, „jak to wszystko wyglądało“. Z tonu jego głosu przebiegała ciekawość, podobna do tej, jaką przejawiali po wojnie Amerykanie we Francji, gdzie liczne biura turystyczne urządzały im za niewielką opłatą wycieczki na front, świeży jeszcze od krwi ludzkiej.

Odrożyłem bez wahania pisanie raportu o sytuacji, który codziennie musiałem przerabiać na nowo, bo sytuacja zmieniała się z dnia na dzień, — i w dziesięć minut później czekałem przed domem na samochód amerykański.

Pojechaliśmy we troje, bo Herson zabrał z sobą dziennikarkę francuską, Madame Irène Lévy, kobietę o bladej i skupionej twarzy. Tyle o niej pamiętam, że za wyjątkiem jednego zdania, nie odczytywała się ani razu podczas całej tej jazdy i tylko oczami wyrażała różne tonacje „dziwienia się“ temu, co zobaczyła.

Słońce było jeszcze w rannej fazie zimowego blasku, w fazie biało-srebrzystej. Powietrze drżało od srebrnego mrozu, a para z ust zamieniała się w delikatne smugi szronu.

Niedaleko za wygaszonymi przedmieściami starego Charbina rozpoczęła się stepowa pustka. Gdzie spojrzeć, nie widzieliśmy się ani wioski, ani domostwa, ani drzewa. Przejeżdżaliśmy tak kilkanaście mil i tylko w jednym miejscu wyrosła w pobliżu drogi jakaś budowlą, sklecona z desek, w rodzaju szopy lub stodół. Szczerbię drzewo wskazywało, że musieli ją tu postawić robotnicy rosyjscy w jakimś dawno minionym celu, jeszcze za czasów, gdy budowano w Charbinie kolej chińsko-wschodnią. Na tle zamazanych przestrzeni wyglądała, jak wielkie krucze gniazdo o postrzępionych liniach. Rozpacz i pustka wiały z tego budynku.

Droga zakręciła powoli na zachód i dojechaliśmy do brzegów rzeki Sungari, świecącej na kształt srebrnego lodowca.

Posuwaliśmy się teraz wzdłuż rzeki, coraz bardziej odurzony ostrością powietrza i intensywnością światła. Było cicho i pusto. Nigdzie — ani znaku, ani śladu wojny.

Nie ujechaliśmy tak dalszych pięciu mil, gdy szofer zatrzymał samochód i otworzywszy okno, zaczął nasłuchiwać.

— Strzelają... — szepnął.

— Pojedźmy dalej! — zawołał Herson.

Droga wzrosła się łagodnie w górę i zaczęliśmy wjeżdżać na poszczerbioną przełęcz, z której szczytu rozciągał się nostalgiczny widok na niekończące się płaszczyzny, przecięte jedynie doliną lodu zamazanej rzeki. Słońce weszło już w drugą fazę zimowego światła, w fazę popołudniową, i łód na rzecę nabrał złotego połysku. Ziemia stawała się pomarańczowa, a granat nieba podciął się. Z oddali dochodziły wyraźnie odgłosy strzałów, niby trzasków z dziesięcioletniego pistoletu. Szofer wskazał ręką na horyzont zachodni:

— To tam! — zawołał.

Herson wyjął lornetkę i przypatrywał się długim dalekim przestrzeniom, gdzie gołym okiem można było dostrzec, przysłoniwszy oczy od słońca, szeregi uwiłajających się punkcików.

— To nie jest żadna bitwa, — rzekł wreszcie, podając mi lornetkę, — po prostu Japończycy z całą zimną krwią „wykańczają“ jakiś oddział Chińczyków.

Wziąłem lornetkę i marszcząc czoło od nadmiaru światła, dojrzałem na tle rudej przestrzeni dwie grupy ciemnych, ruchomych punktów. Jedna uciekała bezładnie na zachód, druga w rozciągniętej linii gonila za uciekającymi i strzelała. Za każdym wystrzałem jeden z uciekających punkcików padał na ziemię, a jednocześnie obłoczek białego dymu wzbijał się w górę i zastęgał w mroźnym powietrzu. Przestrzeń między uciekającymi i goniącymi malała z każdą sekundą.

Robiło to przejmujące wrażenie.

Z kolei Madame Lévy przyłożyła lornetkę do oczu. Rece jej drżały trochę, ale nie wypowiedziała słowa; była zresztą tak zaryta w futra i szale, że trudno sobie było nawet wyobrazić, aby mogła dobrać głosu z powodzi tych zawoju.

Marian Hemar. „Dwie Ziemie Święte“, Wiersze. Str. 46. Okładka i rysunki w tekście Janiny Kornańskiej. First published — June 1942. P.S. King and Staples. London.

„Ach, święta tutaj ziemia — tamta także jest święta...“ W ślad za tym poetycko rozwiniętym porównaniem „Dwóch Ziemi świętych“: ziemi palestyńskiej i ziemi drugiej, „tym droższej, że takiej biednej, tym bliższej, że takiej dalekiej“ — idą wiersze, w których przeważa ton modlitwy, poetyczna rytmika psalmu i same choćby ich tytuły świadczą o temacie religijno-patriotycznym.

Gdyby nie to, że większość z nas, bądź to w Rumunii, bądź też w Palestynie, czy w Egipcie, była świadkami powstania tych utworów przeważnie okolicznościowych, pisanych ze świetnym wyczuciem aktualności dla polskiej audycji radiowych, dla odczołowej i żołnierskiej estrady, napewno dziś ze zdumieniem przeczytalibyśmy nazwisko autora.

Marian Hemar! A więc ten majster kabaretowej piosenki, główny dostawca warszawskich teatrzyków, autor tang o smutnym gigo, nie gardzący frywolnością, wreszcie ojciec literackiego szmonecsu, twórca popularnej postaci Lopka, wielanego przez Krukowskiego, tenże sam Hemar przemawia dziś do swojej muzy apostrofą świętych słów Pozdrowienia Anielskiego: „O poezjo, łaskis pełna, módl się za nami...“

Niezwykła rozpiętość między jednym a drugim typem twórczości, pojawiającym się zupełnie nagle, a doskonalie związanym użytkowo z potrzebą chwili, mimowoli kusi chęcią sprawdzenia, o ile ta narodowo-religijna poezja jest głęboka, albo też o ile powstaje jedynie z wyczucia aktualności naturalnego zresztą u tak zręcznego satyryka, jakim jest Hemar. Słowem, czy „natus est Conradus“, czy też mamy przed sobą tylko właściwe, korzystne w stosunku do wymagań czasu — operowanie techniką poetycką i tradycyjnym zbiorem patriotycznych rekwizytów, od „Częstochowskiej“ zacząwszy, na cytatach o „skazaniu na wielkość“ skończywszy.

Postawienie sprawy może wydawać się drażliwe. Może nawet być tłumaczone jako chęć oskarżania autora o literacki business, o coś w rodzaju swoistego kupczenia świętościami. Oczywiście, że łatwo przy gorączkowej przesadzie, albo intencji sprowadzania wszystkiego do krzykliwych argumentów, zrobić z tego specyficzną próbę weryfikacji uprawnień autora z literackiego kabaretu i lekkiej komedii do przemawiania tonem raczej wieszczym, niż skromnym.

Ale przecież nie o to chodzi. Jeśli nawet wiersze Hemara, składające się na „Dwie Ziemie Święte“, nie są niczym więcej, ponad okolicznościowy tekst, to przecież nie pozbawi ich to wartości tegoż właśnie tekstu, ogólnie dziś potrzebnego, zwłaszcza w życiu wojska. Jeżeli zaś owy tekst często odbiega od banału, sporządzony jest z literackim smakiem i ze znajomością pulchności, tym lepiej, tym bardziej będzie się mógł przydać. Zresztą dowody użyteczności wierszy Hemara uchodziły polskie w Palestynie widziadło ciągłe, tak jak odwrotnie — armia polska ewakuowana z Rosji odczuwała brak autora, któryby zameldował: „Wiersz na akademię? — Tak jest, panie poruczniku.“ — i przyniósł istotnie tekst odpowiedni, wzruszający księdza kapelana, rozśmieszający strzelca i miły dla wysokiej szarży.

Marian Hemar znalazł się po wrześniu 1939 r. w Rumunii. Tam dawał wiersze na polskie wieczornice i dla objazdowego teatru. Jak bardzo były one wtedy potrzebne, świadczą i wspomnienia uchodzące, np. o dłuższym utworze deklamowanym na Węgrzech, związanym z pamięcią marszałka Piłsudskiego, i poprostu fakt, że wszystko co Hemar napisał, rozchodziło się w licznych odczytach. W Bukareszcie polska YMCA, po długich targach z cenzurą, wydała „Cztery wiersze“ Jana Mariańskiego — pseudonim nie trudny do odgadnięcia. Z Rumunii dostał się Hemar na Środkowy Wschód i tu, w Latrun, w miejscu postoju Brygady Karpackiej, zdobywał nową popularność.

Przychodził Egipt — obok Młodzieńca i kierownika czołwki Teatralnej — Wojteckiego, Hemar staje się bardem Brygady. Wypełnia audycje radiowe w Kairze, pisze dwie rewie dla Czołwki, ważniejsze wydarzenia w Brygadzie, ważniejsza rocznica — nie mającą bez wiersza Hemara.

Ale wiersze te żyją wyłącznie aktualnością. Tak np. „Virtuti Militari“, poświęcone pamięci pierwszego poległego w Tobruku — miało duży odgłos bezpośrednio po napisaniu, dziś zaś, w druku, jest dość ciekliwym i drażniącym swą naiwnością obrazem, zrobionym metodą odbitki z motywów Or-Ota czy Makuszyńskiego. Wiersz przypomina styl sentymentalnej gawędy wojennej, którą tak ładnie rozszerza u nas Artur Oppman — dzieciarnia się zawsze tym zaczytywała i będzie zaczytywać. Hemar jednak nie pisze tu dla dzieci i zdaje się, że każdego, kto widział front i bitwę, będzie raził przeniesiona we współczesną wojnę

Konsul wdał się w rozmowę z szoferem, inteligentnym Rosjaninem, który zapowiadał jakieś niesłychane „porządki japońskie“, a jednocześnie biadał nad Chińczykami:

— To dobry naród, panie Herson. Cóż, kiedy broni nie mają... broni i żadnego porządku. Karabiny u nich?... Pożałuj się Boże!

Mróż wzmagał się powoli, ziemia trzeszczała, a skóra na czole zdawała się pękać. Madame Lévy wyrażała swymi czarnymi, paryskimi oczami chęć powrotu, i wsiedliśmy do samochodu.

Wracaliśmy tą samą drogą, ale okolica, która przed dwiema godzinami jeszcze wydawała się jakby wymarła, teraz zapusowała życiem. Jakis odprysk bitwy dosięgnął i tego pustkowi. Ledwo samochód minął miejsce, w którym droga odłącza się od brzegu rzeki i zakręca na zachód, gdy znowu usłyszeliśmy strzały.

— To znowu „tamci“ gdzieś uciekają, a „ci“ ich gonią! — rzekł szofer.

Przed nami wyloniła się w oddali owa czarna, opustoszała szopa, która niedawno wiała pustką i opuszczeniem.

POEZJA SLOGANU

sценка spotkania żołnierza ze św. Piotrem, wzorowana na kolorycie obrazków z doby napoleońskiej. O sprawach polskich, o śmierciach polskich na pustyni trudno dziś pisać tonem wierszyska Kopnickiej z czytanki szkolnej.

Ten stosunek poety do notowanych przez niego wydarzeń świadczyby raczej, że Hemar nie przeżył takiego wstrząsu, który odsłoniłby nowe pokłady talentu. To raczej ta sama zdolność w świeżym zastosowaniu. Chwytna inteligencja w połączeniu z doświadczeniem autora tekstów, których racją bytu było trafianie do wszystkich, szybko spostrzegła, co teraz może być sloganem. Stąd u Hemara rekwizytoria romantyczna zjawia się zużytkowana zgodnie z nakazem dnia — nieraz w świetnym skrócie, nieraz w odświeżającym ujęciu.

Zależnie jak silnie i w jakiej formie dochodziło do głosu to poetyczne dzienne lekarstwo, powstawały wiersze różnej jakości. Tak np. „Do aliantów“ jest jak gdyby artykułem wstępnym dośrodkom — lankom rymowanym i rytmizowanym, tak znowu inne wiersze są tradycyjnym felietonem, raz wesołym, raz charakterystycznym, raz żłazwym. W poszukiwaniu hasła, motta, wogóle słów i zwrotów odrazu wprowadzających wiersz w pewną konwencjonalną sferę skojarzeń i uczuć, Hemar lekko czerpie z polskiej tradycji religijnej, historycznej, literackiej, obyczajowej.

Nie zawsze się to udaje, a gdy pisać w „Warcie przy Grobie Świętym“, przystępując do tematu związku Polski z najwyższymi wartościami naszej cywilizacji, który Wierzyński podniósł właśnie do wyżyn mickiewiczowskiej liryki — będzie próbował osiągnąć nastrój niefortunną, bo i niepoetycką i niegramatyczną archaizacją, wtedy demaskujący się chwyt stylistyczny zdradzi brak poetyckiego przekroczenia, zimną robotę, że nie użyjemy określenia: podobione przeżycie.

Dalszym stopniem będzie odezwanie się beceremonialnością stylu kabaretowej piosenki. Hemar jest autorem znanej pieśni Brygady Karpackiej, gdzie w zakończeniu zwrotki, woja odrazu do Polski: „był dalej, był już, był precz“. Mimo dobrej intencji, brzmi to raczej jak tekst dla Fogga czy Faliszewskiego, nie dla żołnierza-tulacza.

Nie jest to zarzutem, lecz próbą określenia właściwej roli tych wierszy Hemara, przedstawionych w tomie w fanfarze „Inwokacji“ chyba trochę ponad stan patetycznej. I może warto było poświęcić tej próbie tyle miejsca, w chwili gdy mnoży się poezja patriotyczna łatwizny, gdy spowiadamy się z tęsknoty a nie dajemy świadectwa pocuciu załamania się państwa. Czasem poezja nasza brzmi tak, jak by mogła brzmieć po nieudanym powstaniu, a nie po stracie obudowanego już domu. Poza Pawlikowską, Wierzyńskim i Wittlinem, wszędzie prawie brzmiały aż do znużenia wspomnienia, powtarza się schemat krajobrazowego opisu w pierwszej części wiersza, porównanie z Warszawą, krajem — w drugiej. Jak gdyby nie dostrzegamy narodów, wśród których żyjemy na emigracji, równocześnie też nie tworząc eposu o własnym. Byłaby może pora zastanowić się, że wiele wierszy, które dziś nas wzruszają, mają wymowę i popularność opartą tylko na koniunkturze i że raczej jesteśmy bliżej przerwy w rozwoju poezji polskiej, niż tego dzieła, które dała naszej literaturze poezja poprzedniej wielkiej Emigracji.

Wiersze Hemara, gdy wiały się z chwilą, nie próbowały pozować na historiozofię polską, zajmowały właściwe miejsce i były pożyteczne. Nie wszystkie Hemar wyciął do swego zbioru, ogłoszonego w Londynie, opuszczając np. zawsze gorąco oklaskiwany wiersz o RAFie. Znalazł się natomiast na czołowym miejscu wiersz o Piłsudskim, z którego aż nazbyt jawnie wylazła charakter utworu estradowego i niedorośniętego do wielkości tragicznego tematu. Podobnie i wiersz „Do generała“, pisany z myślą o marszałku Rydz-Śmigłym, jest politycznie naiwny i szkodliwy, tak samo jak i osobliwa degradacja zawarta w jego tytule. Nie wiemy co ona ma oznaczać: wyrok? chęć odgródnienia dwóch postaci? rozrachunek z pewnymi aktami państwowymi, z przed września 1939 r.? Bolesne sprawy narodowe lepiej zostawić dla najwykszych w narodzie.

„Dwie Ziemie Święte“ nie obejmują jeszcze drobnych majstersztyków politycznej satyry, pisanych już w Londynie, z których wiersz „Spotkanie“ („Wiadomości polskie Nr. 25—119), zasługuje chyba na pierwsze miejsce w swej powściągliwości wyrazu, a trafności szychu. Ostatnio (ach, osobliwie brzmi u nas to określenie, sięgające prawie pół roku wstecz...) na łamach „Wiadomości Polskich“ ukazały się pisma Hemara, „Cztery mazurki“, „Rocznica“. Tu dopiero wśród prawdy osobistego przeżycia, wśród żalu za utraconym światem czuje się szczerzy wyraz tęsknoty, klęski i poezji. I raczej proste a bolesne notatki poetyckie mogą być zapowiedzią dalszych możliwości hemarowskiego wiersza, niż zbiór „Dwie Ziemie Święte“.

Zdzisław Broncel

— Tam strzelają — zawołał szofer, wskazując na budynek.

Słońce wchodziło powoli w trzecią fazę mandżurskiego dnia i zamieniało kolory złota na czerwień. Niebo i ziemia zapalały się ośniewającą purpurą zimową, na której tle ciemne kontury ludzi i rzeczy nabierały jeszcze intensywniejszego zarysu.

Dookoła szopy stało teraz, w szerokim promieniu, kilkunastu żołnierzy japońskich, w pozycji na baczność, z karabinami w rękach, w przypłaszczonych kaskach, pod którymi zgadywałeś ich szerokonose, pozornie beznamiętne twarze. Bliżej szosy zieleniły się dwie, czy trzy ciężarówki, a na dachu jednej z nich stał ktoś, co dowodził, bo widać było z ruchów jego ręki, że wydaje rozkazy innym.

Gdy podjechalśmy bliżej, na środek drogi wybiegł jakiś żołnierz i szeroko rozciągnął ręce na znak, że nas zatrzymuje. Dwóch oficerów podszło do samochodu. Jeden poprawną angielszczyzną zapytał o papiery, a drugi przypatrywał się nam w milczeniu. Nic nie zdradzało ich nieprzychylnego stosunku do nas, ale gdy dowiedzieli się, że mają przed sobą konsula Stanów Zjednoczonych, zaczęli sumiłowato się i kłaniać, co wskazywało, że tamten ton, pozornie obojętny, wyrażał niechęć i nieufność.

— Radzimy odjechać stąd jak najprędzej, — rzekł słodkim dyszkantem, — pełno tu uzbrojonych maruderów i dopóki nie zrobimy z nimi porządku, nie jest rzeczą bezpieczną jeździć po tych okolicach.

Ale Herson nie miał zamiaru odjechać i przybrawszy dobroduszy uśmiech, wdał się z nim w rozmowę. Japończyk z wysiłkiem odpowiadał na nieznaczące pytania; widać było, że z trudem hamuje wściekłość.

Nagle, podczas tej naprężonej rozmowy, z wnętrza szopy posypały się strzały. Jeden z żołnierzy zwał się na ziemię.

— O toż to — syknął oficer i odwróciwszy się od nas, dał szybko kilka poleceń.

— Radzę natychmiast odjechać... — rzucił w naszą stronę i dalej wydawał rozkazy.

Krąg Japończyków zaczął zaciskać się zwolna dookoła szopy. Żołnierze zbliżali się do budynku, jakby przycieczani, z wymierzonymi karabinami, z palcem na cynglu. Wykonywali swe ruchy z taką precyzją i tak równo, że miałem wrażenie, iż poruszani są jednym mechanizmem i jedną sprężyną.

W pewnej chwili, gdy dochodzili już do budynku, drzwi od szopy otworzyły się na rozcień i ze środka wysypała się bezładnie gromada żołnierzy chińskich, oślepionych czerwonym blaskiem zachodzącego zimowego słońca.

Kilku z nich rzuciło karabiny na ziemię i padło na kolana, wyciągając błagalnie ręce. Zostali zabici na miejscu. Reszta zaczęła uciekać. Powtórzył się znowu straszliwy fragment bitwy o „przestrzeń życiową“, tym razem w przybliżeniu: słabi uciekali bezładnie, a silni gonili za nimi, jak za tropioną zwierzyną. Chińczycy biegli zygając się, w rozwianych szynelach, a za każdym strzałem któryś z nich padał.

Wtem dwóch Chińczyków oderwało się od grupy uciekających i zaczęło biec w naszą stronę. Musieli nas dostrzec przedtem. Byli w swoich watowanych szubach, ale nie przeskoczyli im to biec z niezwykłą chyżością.

Japończycy, zaskoczeni śmiałością tego manewru, zawahali się przez chwilę, w którą biec stronę. Ta jedna chwila dała dużą przewagę obu Chińczykom, którzy zdążyli już zbliżyć się do naszej grupy i wołali o coś błagalnie.

Wtedy oficer japoński wyjął z kieszeni rewolwer i wymierzył w nadbiegających.

— Proszę nie strzelać do nich! — ryknął Herson.

— Proszę nie strzelać! — krzyčeliśmy z szoferem.

— Kiedy mają broń, „brudne psy“ — szepnął przez zacienione usta Japończyk i strzelił.

Jeden z żołnierzy padł, jak rażony iskłą elektryczną. Drugi biegł dalej i można już było widzieć obłoczek pary, płynący z szeroko otwartych, rozpaczyliwych ust.

— Proszę nie strzelać! — krzyčeliśmy z wściekłością.

Madame Lévy podbiegała do niego i chwyciła go za ramię. Ale Japończyk strzelał dalej.

Jedna kula świsnęła w próżni. Druga musiała ranić nieszczęśliwego, bo potknął się — ale biegł dalej. Był tuż, tuż, o kilka kroków przed nami, gdy trzecia kula trafiła go w pierś. Przez sekundę zatrząsał w powietrzu rękami, jak niebieski skośnooki ptak, i runął na ziemię. Z roztwartego szynela, który biegąc przyciskał do siebie obu rękami, wypadł jakiś przedmiot i potoczył się po zamazanej ziemi prosto pod nasze nogi.

— Oni tak zawsze... Nie chcą wydawać broni, a potem w ostatniej chwili strzelają — rzekł zimno Japończyk, chowając rewolwer do kieszeni.

Ale przedmiot, który upadł na ziemię, nie był bronią.

To były skrzypce. Herson podniósł je szybko i trzymając instrument, przypatrywał mu się przez chwilę ze zdumieniem.

— To skrzypce — szepnął, jakby zakłopotany, podając mi popękany instrument.

Były to wiejskie, prymitywne skrzypce chińskie, na których ludzie tamtejsi wygrywają swoje nostalgiczne pieśni, niedostępne dla nas, a dla nich pełne uroku, tęsknoty i umownej, im jednym tylko wiadomej — treści.

— Z taką bronią nie wygrywa się wojny — rzekł oficer japoński, patrząc z pogardą na skrzypce.

I wtedy odezwała się po raz pierwszy Madame Lévy:

— Tak, — zaszczała niskim i chrapliwym głosem, — tak... Z taką bronią nie wygrywa się wojny, ale z taką bronią nie można wojny przegrać. Nigdy. Entendez-vous... Nigdy.

* * *

Od tej chwili upłynęły lata. Wojna objęła cały świat i w jej burzy wiele rzeczy i wspomnień przepadało na zawsze. Ale pamięć o tym dniu została i dalej płynie za mną. Płyną i skrzypce. Czasem noca, gdy wydaje mi się, że wszystko stracone, słyszę ich szeslet. I słyszę dźwięk dalekiej, bezimiennego melodii, która powraca do mnie, jak nieśmiały szepet nadziei, że przecież wszystko — co jest w życiu czułe, ludzkie i miłosierne — nie zginie.

ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH

Pierwszego marca ukazał się w Moskwie tygodnik p. t. „Wolna Polska”. Podtytuł jest tajemniczy: „Wolna Polska” jest organem Związku Patriotów Polskich. Na terenie Związku Sowieckiego wychodzą do dziś pisma, które są bądź organem rządu, bądź organem partii. Związek Radziecki nie zna innych organizacji politycznych prócz partii komunistycznej. Wszystkie dotychczasowe pisma polskie w Sowietach były organami partii komunistycznej. Teraz dowiadujemy się o nowopowstałej organizacji politycznej na terenie ZSRR. Jest nią Związek Patriotów Polskich. Kiedy ten związek powstał? Kto jest prezesem, kto sekretarzem, na jakim ogólnym zebraniu uchwalono powołać do życia ten związek? Nie ma na te pytania odpowiedzi w pierwszych numerach pisma.

Trudno się również dowiedzieć, co się stało z pismem poprzednim p. t. „Nowe Widnokreśli”, które ukazywało się w Kujbyszewie. Czy przestało już wychodzić? Dlaczego tytuł „Nowe Widnokreśli” został poświęcony na rzecz „Wolnej Polski”? Czy pismo to zginęło wraz z tytułem, tak jak poprzednie gazety polskie, wychodzące w Sowietach do roku 1941? Było tych gazet wiele. Ukazywała się „Trybuna Radziecka”, zasilana przez wybitnych działaczy komunistycznych. W Pradze Czeskiej a częściowo i w Moskwie ukazywał się „Nowy Przegląd”, organ teoretyczny partii komunistycznej. Pracowali tam Leński-Leszczynski, Warski, Kostrzewa, Amsterdamski, Dąbal, Łańcucki, Purman. W r. 1938 „Nowy Przegląd” przestał się ukazywać. Podobno i współpracownicy również przestali się ukazywać.

Na czele „Kultury Mas”, pisma poświęconego zagadnieniom kultury polskiej, albo raczej, jak pismo twierdziło, polskiej kulturze proletariackiej, stał Bruno Jasiński, autor powieści „Pałę Paryż” i „Człowiek zmienia skórę”. Współpracował w piśmie autor „Śmierci na gruszy” — Wandurski. „Kultura Mas” nie ukazuje się już więcej.

Na terenie Związku Sowieckiego ukazywało się pismo p. t. „Z pola walki”, poświęcone historii SDKPiL (Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy) oraz partii komunistycznej w Polsce. Ukazała się również „Historia SDKPiL”. Historia ta została wycofana z obiegu. Stwierdzono tam grzechy luxemburgizmu, odchylenia prawicowe, przegięcie lewicowe, wreszcie stwierdzono, że pismo było zaśmiecone „prawolewackim odchyleniem”.

„Wolna Polska” odzignęła się widocznie od tych wszystkich pism. Nie nawiązuje do nich, nie przypomina we wstępnym artykule od redakcji o ich istnieniu, jak również o tych wszystkich redaktorach, jakkolwiek zdawałoby się, zgodnie ze wskazaniami tego pisma, trzeba nawiązać do historii, pamiętać o przeszłości, nie wyrzekać się jej. Nastąpiło widocznie przeoczenie. „Wolna Polska” bowiem wyraźnie domaga się nauki historii, szczególnie współczesnej.

W Nr. 2 tego pisma, w artykule p. t. „Nieudane łowy”, czytamy:

„Niemcy nie krępią się zupełnie tym, że co mówią w danym dniu zaprzeczają wszystkiemu, co utrzymywali wcześniej, i że na jutro powiedzą także zupełnie co innego. Przyzwyczajali się w sobie w kraju, że można oszukiwać doli ogólnych Niemców, i że nikt nie może zdobyć się na odwagę przypomnienia tego, co się mówiło wczoraj”.

Należy skwapliwie z zachęty „Wolnej Polski” skorzystać i przypomnieć ostatnie momenty z przeszłości. „Wolna Polska” w drugim numerze umieszcza artykuł p. t. „Kto pierwszy”: „Rzeczywiście, w r. 1939 lud polski bronił się bohatersko przed najeźdźcą... Obrona Warszawy, samorządny, patriotyczny porządek pozostawionych samych sobie polskich mas ludowych będzie dla nas źródłem dumy po wsze czasy”. Redaktorem pisma „Wolna Pol-

ska” jest pani Wanda Wasilewska, która do końca czerwca roku 1941 nie dała wyrazu swojemu stosunkowi do tej walki, do tych bojów warszawskich. Na zapytanie „Dziennika Polskiego” w Londynie, co ludzie z „Wolnej Polski”, którzy chwalą obecnie bohaterskie walki, toczono w roku 1939, robili przez owe dwadzieścia miesięcy od 17 września 1939, autor artykułu p. t. „Stare chwytły” odpowiada: „walczyliśmy... razem z naszym sojusznikiem kulimy i kujemy broń, z nim razem walczyliśmy o wolność. Naszej hipotece nie obciąża nawoływanie do czekania, my nie odchodziliśmy w najcięższej dla Polski, — dla Polski, nie tylko dla ZSRR, — chwili do Iranu”. Tak pisze Wiktor Grosz.

A więc od roku 1939 pani Wanda Wasilewska oraz jej towarzysze nie przestali kuć broni i walczyć, i to prawdopodobnie z ideologią hitlerowską i hitleryzmem.

W imię historii, którą ceni tak bardzo „Wolna Polska”, należy jednak stwierdzić, że jeżeli Wanda Wasilewska i pan Grosz walczyli, to była to widocznie walka nielegalna.

Zresztą możemy dać spokój historii. Być może „Wolna Polska” ma program pozytywny?

Istotnie, w drugim numerze w artykule p. t. „O wyrównaniu krzywd” czytamy: „Setki tysięcy rodzin wygnanych i wysiedlonych po winny wrócić do rodzinnych siedzib. Każdy Polak wywieziony... do Niemiec powinien wrócić do kraju. Muszą zostać odbudowane zniszczone i zrabowane kościoły”. W odrodzonej Polsce „kupiec powinien wrócić do swego sklepu... W odrodzonej Polsce robotnik i inteligent musi mieć pewność, że nikt nie ma prawa gnąć go pod bagietką do pracy, której on nie chce”.

„Wolna Polska” wzywa więc do walki, ma program pozytywny, domaga się odbudowania kościołów, praw dla kupca i jednocześnie poświęca połowę materiału walce z Rządem Polskim w Londynie. Od Rządu domaga się szczególnie popierania walki partyzanckiej na ziemiach polskich, oraz wyrzeczenia się Kresów Wschodnich. „Wolna Polska” nie wyjaśnia, o jakie walki partyzanckie chodzi. Atakuje jedynie Rząd Polski, że odgradza się od spadochroniarzy, i przytacza jednocześnie komunikat TASS-a, powołujący się na to, że Anglia w osobie nawet tak konserwatywnych przedstawicieli jak Curzon, uznawała prawa Sowietów do Kresów Wschodnich. Dla ścisłości należy przypomnieć, że pan Curzon kreślił linię graniczną nie dla Sowietów, ale wciąż w nadziei przywrócenia dawnej Rosji, że granice polsko-sowieckie zostały ustalone nie według linii Curzona, ale na podstawie Traktatu Ryskiego, t. zn. umowy zawartej przez rząd polski i rząd sowiecki, umowy ratyfikowanej przez Sejm Polski, oraz Zjazdu Rad z inicjatywą Lenina. Traktat Ryski nie jest więc umową narzuconą Rosji bądź przez Anglię, bądź przez Francję, lecz został dobrowolnie przyjęty i zaakceptowany przez państwo sowieckie.

A jednak należy złożyć hołd władzy radzieckiej z powodu ukazania się „Wolnej Polski”. Jest dużo samozaparcia w wydawaniu pism patriotów, domagających się przywrócenia kapitalizmu, praw kupca na terenie ZSRR. Uczyniono wyjątek dla Związku Patriotów Polskich, dla pułkownika Wandy Wasilewskiej. Zrozumiano, że wieloletnia rzeka znajdująca się na terenie ZSRR, która zjawiała się tam prawdopodobnie przypadkowo, musi mieć pismo.

Były „Nowe Widnokreśli”, była „Trybuna Radziecka”, „Nowy Przegląd”, „Kultura Mas”, bardziej odpowiadające reżimowi, mniej przeciwnostawiające się zasadniczym hasłom konstytucji sowieckiej, a jednak odeszły w cień wraz z redaktorami. Wanda Wasilewska ma jednak szansę. Obronić ją może przeszłość, jeśli nie własna, to ojca, który zgodnie z tytułem tego pisma, jako pepesowiec, był patriotą polskim.

O. W. R.

Armia Polska na Wschodzie w fotografii i plakacie

W dniu 22 kwietnia r. b. otwarto w świetlicy Domu Żołnierza Polskiego wystawę fotograficzno-graficzną „Armia Polska na Wschodzie w fotografii i plakacie”. Jak zaznacza biuletyn propagandowy, nie jest to wystawa fotografii artystycznych. Twórcy (Inż. W. Ostrowski, J. Fuks i J. Romanowski) skarżą się na trudności, związane z warunkami polowymi, w jakich pracowali, a więc na brak dobrej wody, laboratoriów, dogodnych pomieszczeń, tym bardzo jednak godne podziwu są wyniki ich pracy, a trudności te podnoszą właśnie znaczenie dokumentarne fotografii.

Nie jest to historia kompletna, daje jednak w dużej mierze pojęcie o całokształcie przeżyć naszej Armii na Wschodzie, poczynając od jej narodzin w Buzulu, gdzie miały battle-dressów i furazerek widzimy jeszcze grube, watawne „futajki” i futrzane czapki, poprzez upalny, kwietniowy Uzbekistan, przez gorzysty Iran, przez Tobruk i Gazalę, aż do wielkiego polskiego „miasta namiotów” na pustyni Iraku.

Widzimy naszych żołnierzy przy pracy, podziwiamy ich sprawność i dziarską postawę podczas defilad, ćwiczeń czy marszów, w najbardziej uroczystych momentach życia żołnierskiego.

Oglądamy zasiadki z drutów kolczastych pod Gazalą i Tobrukiem, żołnierzy po zęby uzbrojonych, w hełmach stalowych, może w chwilę po opuszczeniu okopów.

Wreszcie życie wewnętrzne obozów: praca w kuchniach, posiłki, wypocinek. Tu grupa żołnierzy zatopiona w czytaniu gazet, tam jakiś zapalony gołąbkarz krzyczy się kogo swego „gospodarstwa” na pustyni, inni nawiązują stosunki towarzyskie z malutką dziewczynką uzbecką odkrytą piaszczykiem z kilkadziesiąt cianko splecionych warkoczyków. Cały cykl fotografii mówi o pracy Teatru Żołnierza Polskiego. Prócz tego wiele przepięknych zdjęć krajobrazów, zabytków archi-

tektury czy ciekawych typów ludowych pozwala stworzyć sobie pojęcie o charakterze geograficznym i etnograficznym naszych M.P. wojskowych.

Zwiedzając wystawę, nawiązujemy bezpośredni kontakt z wojskiem. Widzimy jak nasi żołnierze żyją, co robią — widzimy też co czują i jak myślą. Mówią o tym liczne, ciekawe w pomysłach i piękne w wykonaniu plakaty graficzne: „O wielką i Niepodzielną” (J. Miodnicki), „Zwycięzcy” (P. i Z. Haarowie), „Czuć Duch”, „Poland fighting”.

O łączności duchowej z krajem cierpiącym pod okupacją, z walką podziemną Warszawy mówią rysunki M. Kościółkowskiego, przejmujące swoją tragiczną treścią, a także fotomontaże „Mein Kampf”, „We shall not forget!”.

Najwspanialsze jednak wrażenie wywiera układ fotografii, mępy i plakatu: u góry przepiękny wizerunek rzeźby, przedstawiającej Matkę Boską, Królową Korony Polskiej. Rzeźbił ją w desce więzień polski gdzieś na Syberii. Obraz przyszedł z nim tużaczka, razem dotarli do wojska i tu rzeźbiona pamiątka z więzienia stała się niemal relikwią całej armii, wędruje z wojskiem wszędzie, a fotografie jej zdobią świetlice i kwatery żołnierskie. Pod obrazem — jakby w cieniu sztandaru z Bogurodzicą — tryptyk. Maszerują żołnierze, idą, równym, twardym krokiem wala zda się wprost na nas ława szeroka. Szeregi za szeregi, twarze skupione, poważne, zacięte. Poniżej tryptyku piękna mapa. Wszędzie, gdzie byli i gdzie są, powiewają białe-czerwone chorągiewki — jest ich tak wiele. Od Kanady po Buzulu, od Szkocji i Narviku po Tobruk.

Tę także wyraźnie mówią historię żołnierza Polskiego zamyka plakat: Orzeł Biały, gdzieś daleko wieże Kościoła Mariackiego, twarze żołnierskie i — okrzyk — „Dojdziemy!!!”

Wystawę powinni zwiedzić wszyscy Polacy.

J. Cz.

KRONIKA POLSKA Z prasy

podziemnej

BESTIALSTWO NIEMCÓW

W „WRN” czytamy:

„Jeśli wobec ogromu bestialstwa, demonstrowanego przez Niemców, można jeszcze mówić o zwiększeniu jego napięcia, to niewątpliwie właśnie dziś mamy przed sobą takie zjawisko. Stu rozstrzelanych na zimno więźniów w Warszawie było tego wyrazem najbardziej może jaskrawym. Właściwie wszakże wymowy nabiera ta masakra dopiero po uświadomieniu sobie, że jest ona tylko jednym z nieprzeliczonych morderstw, dokonywanych przez rządzących naszym krajem zbrodniarzy i zwyrodniałców. Każdy dzień przynosi nam nowe wieści i tak straszne, że nie zawsze jesteśmy od razu zdolni pojąć, iż są naszą dzisiejszą rzeczywistością. ...Z Lubelszczyzny nadchodzą wiadomości, że wymordowane są tam całe wsie za to, że gdzieś w okolicy wyładowali spadochroniarze sowieccy i dobrawszy sobie jeńców rosyjskich, zbiegłych z obozów, utworzyli oddział dywersyjny. Za zabitych pod Zgierzem dwóch żandarmów rozstrzelano stu więźniów w Radogoszczu. W Lublinie wymordowano wszystkich chorych, przebywających w szpitalu żydowskim, oraz część ludności w ghecie, przyczem urządzono rodzaj polowania na mężczyzn, zagarniętych w ghecie; pędzono ich po ulicach Lublina i strzelano do nich niby do szczutej zwierzyny... To co się odbywa na naszych oczach, jest dowodem, że wykonywujący katowskie rzemiosło oficerowie, podoficerowie czy szeregowcy dają z siebie więcej niż wymaga samo posłuszne wypełnienie rozkazu przełożonych. Oto w jednej z miejscowości w stodole, gdzie zebrano wysiedlanych Żydów, gestapowiec wśród przyczajnej niny pogawędki z więźniami wyławia trzęsącego się ze strachu chłopca i pyta się: „Boisz się?” „Boję się” — szeptał małe. „Nie będziesz się bał więcej?” — uspokaja go gestapowiec, stawia go pod ścianą i w obecności wszystkich morduje dziecko strzałem rewolweru...”

Dzieje się to wszystko nie tylko dlatego, że rygor wojskowy wymaga wykonania rozkazu, nawet gdy go wyda zbrodnica jednostka, ale dla zaspokojenia jakiegoś strasznego popędu do morderstwa, tkwiącego w duszach niemieckich oprawców. Dziesiątki i setki tysięcy niemieckich żołnierzy z Gestapo, SS i armii wyznaje ideologię, która jest w istocie ideologią zbrodni. Ideologia ta, zespolona z instynktem bestialstwa, rzadkim nawet u zwierząt, które bez potrzeby nie mordują, a rozkiełznanym przez Fuehrera i przez cały rasizm, została podniesiona do godności cnoty walczącego „narodu panów”. Za dowód może tu posłużyć choćby artykuł sprawozdawcy wojennego, niejakiego Hansa Huffskeja, ogłoszony w tygodniku „Das Reich”. W artykule tym autor z dumą stwierdza, że żołnierz w armii niemieckiej nie obowiązują zasady „oko za oko, ząb za ząb”, ale że „za jedno kosztowne niemieckie oko, które zgaśnie”, pragnie się tam „tysięcy wrogich”. Wojnę z Rosją nazywa autor „wielkim polowaniem” i z emfazą opisuje, jak „padały miasta, twierdze, w rzekach płynęła krew niezliczonych bolszewików”, jak niewiele brakowało, by armie niemieckie ostatecznie zagoniły te bestie na śmierć w chwili, kiedy przyszkodać do osiągnięcia tego celu stworzyła zmiana pogody. Przyszłość ta — zdaniem autora — nie zmienia jednak zasadniczej postawy niemieckiego żołnierza, który czeka aż minie zima, który tęskni do nastania wiosny. „A tęsknota ta jest uczuciem ogromnym i z niczym nieporównywalnym: cała bowiem tęsknota za domem, za żoną, za bezpieczeństwem to jest nic w porównaniu z tęsknotą za nową jeszcze piękniejszą, jeszcze krwawszą wiosną”.

SPROSTOWANIE

Do redakcji „W Drodze”.

W artykule „Orientalistyka w Polsce Odrodzonej”, zamieszczonym w numerze 2-im „W Drodze”, uległo zniekształceniu nazwisko poety arabskiego, którego „dywan” przez lat przeszło dwadzieścia przygotowywał do druku prof. Kowalski. Nazwisko to brzmi: Ka'ab ibn Zuhair, a nie: Kacab ibn Zuhair, jak mylnie wydrukowano.

Teofil Szanfary

OPERA EREZ ISR. AMAMIT

Repertuar na terenie Palestyny od dnia 1 do dnia 15 maja 1943

3 maja Tel-Aviv—Mme. BUTTERFLY
Opera w 3 aktach Puccini'ego

4 " Rehwoth — PIĘKNA HELENA

6 " Tel-Aviv — PIĘKNA HELENA

12 " Tel-Aviv — PIĘKNA HELENA

18 " Jerozolima — PIĘKNA HELENA

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa

Redaktor: St. A. Balicki

Drukarnia: The Jerusalem Press

Jerusalem. Hassolei St. 9. Tel. 2398